



SUDAN • GRENLANDIA • RUMUNIA • WENEZUELA • POLSKA • NEPAL • WIETNAM • SZWAJCARIA • ROSJA • BRE TANIA

www.poznajswiat.pl

Poznaj Świat

4

2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Wenezuela

SAM NA SAM Z RORAIMĄ

str. 34

str. 26

RUMUNIA

POLSKA NA BUKOWINIE

str. 94

FRANCJA

BRETOŃSKIE WĘDRÓWKI

str. 56

NEPAL

TREKKING ZAMIAST OBCASÓW

GRENLANDIA STR. 18

TAM, GDZIE RZĄDZI POGODA

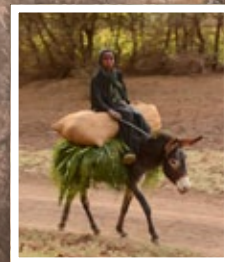
WIETNAM STR. 66

TU JEST SAJGON

SZWAJCARIA STR. 76

KAMERA, AKCJA!

SUDAN
STR. 8



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802





Znajdź nas w cyfrowym kiosku
Publico24 Newsstand

Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Wygodny dostęp do prasy na telefonie i tablecie





SUDAN str. 8



SZWAJCARIA str. 76



GRENLANDIA str. 18



WENEZUELA str. 34



WIETNAM str. 66

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

SUDAN str. 8
Wzdłuż Nilu.
Elżbieta i Piotr Hajduk

GRENLANDIA str. 18
Tam, gdzie rządzi pogoda.
Adam Jarniewski

RUMUNIA str. 26
Na Bukowinie żyje wielu
Polaków osiedlonych tam
w XVIII i XIX w.
Maria Giedz

WENEZUELA str. 34
Sam na sam z Roraimą.
Piotr Miklaszewski

GEOSKOP str. 44

POLSKA str. 48
Skarby Lipnicy Murowanej.
Marek Barowicz

PODRÓŻNOŚCI str. 54
Na własne oczy.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

NEPAL str. 56
Trekking zamiast obcasów.
Iwona Postoła

NAVIGATOR str. 62

WIETNAM str. 66
Tu jest Sajgon.
Piotr Poraysky-Pomsta

DŁUGO W DRODZE str. 74
Czy warto chronić
autostradę?
Felieton Łukasza
Długowskiego

SZWAJCARIA str. 76
Gdzie kręcono
Jamesa Bonda.
Magdalena Żelazowska

POLSKA NIEZNANA str. 84
Leśny raj.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

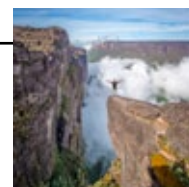
ROSJA str. 86
Dagestan to najbardziej
na południe wysunięty
fragment Federacji
Rosyjskiej.
Karol Fryta

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
FRANCJA str. 94
Bretońskie wędrówki.
Jan Siemiński

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 104
Żółte papierowe żonkile.
Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
widok na
górną Roraimę,
Wenezuela

Arkadiusz Kubale

WĘGRY

Nad pięknym zimowym Dunajem

Końcówka stycznia 2017 r. w Budapeszcie zapisała się jako wyjątkowo mroźna. Spływająca po Dunaju kra nie jest tu częstym zjawiskiem. Zdjęcie zostało wykonane z prawobrzeżnej części Budapesztu (Budy) nieopodal słynnego mostu Łańcuchowego, skąd roztacza się widok na neogotycki budynek parlamentu oraz most Małgorzaty.





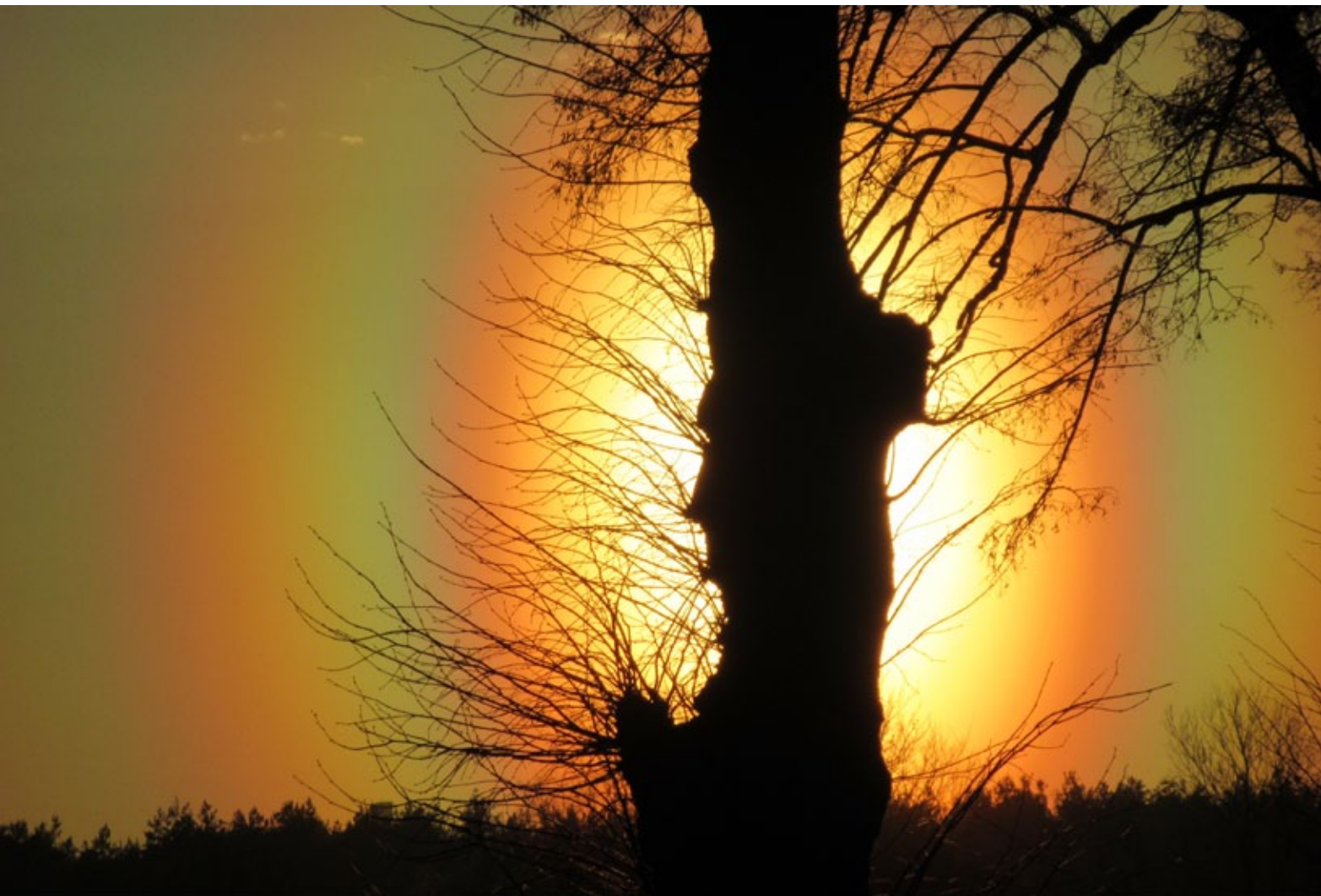
Zbigniew Kula

ETIOPIA

Ogłoszenia drobne

Aksum, pierwsza stolica Etiopii i domniemane miejsce przechowywania Arki Przymierza. Na jednym z głównych placów, blisko przystanku autobusów, ściana pełna ogłoszeń. Przy niej zatrzymuje się większość przechodniów i przyjezdnych. Niemal każdy w Aksum czegoś potrzebuje lub chce coś sprzedać.





Barbara Chodera

POLSKA

Złoto Złotowa

Zdjęcie zostało zrobione w okolicach Złotowa 27 lutego br.
Tej nocy miała być widoczna zorza polarna. Tymczasem
zachód słońca zafundował takie widowisko.

Przyślij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



Elżbieta i Piotr Hajduk

WZDŁUŻ NILU



Cudak w zielonej sukni podskakuje miarowo w takt bębna. Posklejane w dredy długie włosy rozsypują się, zasłaniając twarz. Do tańca dołączają podobni. Wyginają ciała, zataczają się, kolebią na boki. Jeden z nich, wyczerpany, pada na ziemię. Z półotwartych ust sączy się piana. Reszta nie przerywa płasów. Wiatr unosi śpiewne zawołanie: La ilah il Allah – nie ma Boga prócz Allaha...



Kto chce przejechać z Egiptu do Sudanu, ma do wyboru dwie drogi. Obie zaczynają się w Asuanie. Raz w tygodniu odpływa stąd prom do Wadi Halfa, przygranicznego sudańskiego portu. Rejs trwa prawie dobę, więc pasażerowie otrzymują miejsce do spania. Warunki raczej tutejsze: w zależności od ceny wykupionego biletu można liczyć na twardą ławkę lub niezbyt czystą pościel. Nieco krócej trwa podróż autobusem. Te kursują częściej i są tańsze, ale bardziej zatłoczone. Szosa wiedzie do Abu Simbel, a potem i tak trzeba przeprawić się przez wodę. Pojazdy wjeżdżają na

prom i kontynuują jazdę po drugiej stronie Jeziora Namera.

ŚWIATOWIEC Z ODESSY I WIEDNIA

– *Nigdy wcześniej nie byliście w Sudanie?* – zdumienie Gazeego jest tak szczere, jakby wokół kłębił się tłum turystów. Tymczasem z autobusu wysypuje się mrowie miejscowych, objuczonych nieprawdopodobną ilością najróżniejszych paczek i tobołków. Prawie wszyscy uśmiechają się przyjaźnie. Przyjezdni są tu rzadkością, może dlatego ciemnoskórzy



potomkowie dawnych Nubijczyków odnoszą do przybyszów z życzliwą ciekawością. Są dumni ze swojego dziedzictwa i chętnie pokazują je obcym.

Gazi jest roslým, ciemnoskórým mężczyzną o poważnym wyrazie twarzy. Uważa się za obywatela świata. Urodzony w Sudanie, wyjechał na studia najpierw do Odessy, a później do Wiednia. Kiedy nauki ściśle okazały się zbyt trudne, przerzucił się na historię. Trochę postudiował i wrócił, bo zew Afryki okazał się silniejszy. Ze studenckich lat pozostała mu niezła znajomość rosyjskiego i niemieckiego oraz wspomnienie europejskiego dobrobytu.

Dziś najmuje się jako przewodnik i ze swoim starym pick-upem towarzyszy nam w podróży przez bezdroża północnego Sudanu.

Jak większość Sudańczyków, Gaziego cechuje spokój i dystans do problemów codziennego życia. Każde miejsce jest dobre, żeby odpocząć, a wszelki pośpiech stanowczo niewskazany. Stojąc na krawężniku, patrzymy, jak flegmatycznie przekłada na pace usypianą górę kłopotów. Coś spada? To nic, zwiąże się sznurkiem. Robi się późno? Trudno, jakoś zdążymy, a jeśli nie, to jutro też będzie dzień.

W końcu ruszamy na południe. Porządnie utrzymana szosa wiedzie piaszczystym



W DRODZE DO PRZEZNACZENIA

Los wystawianych na targu wielbłądów bywa różny. Niektóre znajdują nowych właścicieli. Inne są przewożone do rzeźni, bo wielbłądzina jest tutaj bardzo cenionym mięsem. W załadunku pomaga koparka.

pustkowiem. Czasem, jak zagubiony w piasku diament, zdarza się jakaś wioska, najczęściej pusta i cicha. Domy o płaskich dachach, zbudowane z suszonej w słońcu mułowej cegły nie wyróżniają się kolorem z otoczenia. Jedyną barwną plamą w tym krajobrazie są meczety, starannie pomalowane jaskrawymi kolorami. Wieże minaretów górują nad okolicą, drapiąc niebo odwróconym półksiężycem. Mieszkańców nigdzie nie widać, tylko nieduże stadka kóz chronią się przed słońcem w cieniu rachitycznych krzewów.

Co kilkadziesiąt kilometrów na drodze są ustawione policyjne posterunki. Funkcjonariusze sprawdzają dokumenty, oglądają samochód. Rozmawiając z kierowcą, ciekawie zerkają na pasażerów. Jeśli wszystko w porządku, z uśmiechem pozwalają na dalszą jazdę. Turyści są mile widziani, ale wszystko musi być pod ścisłą kontrolą państwa. Ksero paszportów, wiz oraz szeregu koniecznych, urzędowych pozwoleń jest obowiązkowe. Należy je zostawić dowódcy każdego patrolu. Mielismy dwadzieścia trzy komplety kopii – pod koniec podróży został jeden.

ZŁOTO DLA KAŻDEGO

Soleb to spora miejscowość, rozciągnięta wzdłuż brzegu Nilu. Nad miastem wznosi się

wysokie wzgórze, skalisty szczyt tonie w morzu piasku. Z grani rozciąga się szeroka panorama okolicy. Miejscowe życie koncentruje się wzdłuż rzeki. Tam, gdzie kończy się jej życiodajny zasięg, zaczyna się suche pustkowie. W oddali widać odcinające się od błękitu nieba wspaniałe ruiny. Świątynia Amona jest najciekawszą w całym Sudanie pozostałością po egipskiej historii. Wybudował ją czternaście wieków przed Chrystusem faraon Amenhotep III, w czasach kiedy jego kraj całkowicie kontrolował Nubię.

O wschodzie słońca wyniosłe kolumny z kremowego piaskowca płoną złotem. W jego blasku zatarte nieco reliefy i kartusze na kolumnach stają się wyraźne, jakby powstały wczoraj. Resztki murów rzucają długie cienie na kamieniste podłoże. Niebo błękitnieje, za kilka godzin zrobi się lazurowe, a potem, bliżej południa, wyblaknie od upału. Jest pusto. Miejscowi jeszcze śpią, a turyści rzadko kiedy zapuszczają się na tak odległą północ.

Wokół Soleb, po obu stronach wąskiej nitki drogi, rozciągają się kilometry pustyni. Są żółte wydmy sypkiego piasku, którymi bawi się wiatr, i bezkresne, żwirowe równiny poprzecinane wzgórzami o nieregularnych kształtach. Wiodą przez nie szlaki znane tylko tubylcom.

Na spalonych słońcem, niegościnnych terenach rozlokowały się osady poszukiwaczy złota. Niegdyś ten cenny kruszec przyciągnął egipskich najeźdźców, stając się przekleństwem Nubii. Dziś nadal mamy spragnionych bogactwa, bo wciąż można go znaleźć. Żadne zezwolenia nie są wymagane, więc wydobyć może zająć się każdy. W okolicy powstało ponad dwadzieścia prymitywnych kopalni. Gazi chce uzupełnić zapasy, dlatego wjeżdżamy do jednej z osad.

Lepianki sklecone z brył węgla są przytulone do kamienistych gór. Wokół wałają się sterty śmieci. Urobek można spieniężyć w pobliskim miasteczku Hemele Market, które wyrosło na pustyni pośrodku niczego. Ulicami przechadzają się ciemnoskórzy, młodzi mężczyźni w zawiciach na głowach, o bezczelnym wzroku i obleśnych uśmiechach. W osadach górników nie ma kobiet. – *Lepiej zaczekajcie w samochodzie* – radzi Gazi. Na rozległym targowisku można kupić i załatwić wszystko. Na miejscu są hotele, jadłodajnie, podobno nawet kluby fitness.

Tam, gdzie kończą się stragany, zaczynają się kopalniane działki. Specjalne maszyny miały na proszek złotodajną skałę. Kto nie jest zmechanizowany, tłucze kamienie ręcznie. Wokół piętrzą się hałdy przerzuconego urobku.

W SERCU KRÓLESTWA KUSZ

Za osadą liczne koleiny wskazują na zwiększony ruch. Najbardziej wyjeżdżony trakt biegnie w kierunku Nilu. Wokół rozciąga się księżycowy krajobraz. Słońce dawno już wypaliło wszelkie życie. Błękitna tafla wody na horyzoncie to fatamorgana, ułuda rozedrganego upałem powietrza. Dopiero po kilkunastu kilometrach w oddali pojawia się maszt GSM, niechybny znak, że zbliżamy się do cywilizacji. Pióropusze palm tym razem nie są złudzeniem, za nimi płynie Nil. Trzy kolumny odcinające się od błękitu nieba to ruiny świątyni w Sesibi, wzniesionej przez faraona Echnatona na jedynym w okolicy wzniesieniu.

U jej stóp leży spora wioska, zbudowana, jak wszystkie tutaj, z cegły mułowej.

PRZERWA W PODRÓŻY

Karawana wielbłądów zatrzymuje się na odpoczynek.

W przydrożnej skromnej jadłodajni można zawsze liczyć na proste, smaczne jedzenie i świeżą wodę, dowożoną na osłach z odległej studni.

FOT. ELZBETA / PIOTR HAŁDUK



AŻUROWE DOMOSTWO

Miejscowi nomadzi żyją w ażurowych domkach zbudowanych z patyków. Pod ścianą znajduje się kuchnia, gdzie na niewielkim palenisku kobiety przygotowują posiłki. Osada składa się z kilku chat.



FOT. ELIZBETA I PIOTR HAJDUK

Nubijski dom to cała posesja. Długi mur skrywa pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze, podwórkę, miejsca do odpoczynku i pracy. Metalowe bramy odcinają się barwną plamą od nijakiego otoczenia. Wykuwane w misterne wzory, stanowią jedyne urozmaicenie szarych ścian. Niekiedy wejścia strzegą czaszki krokodyli. Wewnątrz stoi kilka odrębnych budynków, każdy z paroma kwaterami i kuchnią. Mieszkania są ciemne, małe okna bez szyb wpuszczają niewiele światła. Ale dni spędza się przeważnie na dworze. Półokrągłe podcienia zapewniają ochronę przed słońcem i osłaniają od wiatru wznoszącego tumany kurzu. Starannie

pielęgnowane drzewa rzucają tak pożądany tutaj cień.

Goście są mile widziani, zwłaszcza tacy, co płacą za nocleg. Gospodarze zapewniają warunki lokalne – im dalej na północ, tym skromniejsze. Wyposażenie pokoi jest spartańskie, trzy lub cztery łóżka i dwa krzesła to już apartament. Stół, jeśli jest, to raczej na zewnątrz.

W każdej zamieszkaney osadzie co kawałek są ustawione gliniane dzbanki zawsze pełne świeżej wody, dostępnej dla każdego wędrowca. Obowiązek ich napełniania ma właściciel najbliższego domu i jest on skrupulatnie przestrzegany – odwodnienie



w temperaturze przekraczającej nieraz 50°C może się skończyć tragicznie.

Biedy nigdzie nie widać. Choć północ Sudanu to przeważnie pustynia, na targach nie brakuje świeżych owoców i warzyw. Także z nabyciem mięsa lub ryb nie ma żadnego problemu. Bogactwem tej ziemi jest Nil, który jak przed wiekami, zapewnia obfitość pożywienia.

W Sesibi kursuje prom łączący oba brzegi rzeki. Oczekiwanie na przeprawę umilają kawiarne ukryte w cieniu palmowych liści. Kawa z imbirem jest podawana w towarzystwie przekąski z suchych daktyli, które na oko pamiętają jeszcze czasy faraonów.

Kerma, leżąca po drugiej stronie Nilu, to nieduża, zakurzona miejscowość, jakich wiele w Sudanie. Lecz niegdyś ta niepokazna miescina była stolicą potężnego państwa kontrolującego obszar pomiędzy pierwszą a czwartą kataraktą na Nilu. Tu biło serce królestwa, które Egipcjanie znali jako Kusz. W centrum stoi olbrzymia, tajemnicza konstrukcja z mułowych cegieł o nazwie *deffufa*. Jej przeznaczenie pozostaje zagadką, tym bardziej że w środku nie ma pomieszczeń. To zwarta murowana bryła, na której szczyt prowadzą wysokie schody. Możliwe, że była to świątynia, w której oddawano cześć lokalnym bogom.

Nieco na południe, w pobliżu Dongoli, znajduje się jeden z nielicznych mostów, doskonala okazja, aby znowu przekroczyć Nil. Dongole w Sudanie są dwie. W tej starej prace archeologiczne prowadzą z niemałym sukcesem polscy archeolodzy. Ta nowa, po drugiej stronie wielkiej wody, jest pokaznym targowym miastem, gdzie, jak twierdzi Gazi, można zjeść doskonały obiad. W centrum kwitnie handel. Liczne prowizoryczne stragany kuszą

różnorodnymi towarami. Uwijają się, pokrzykując, brodaci mężczyźni w białych galabijach, z turbanami na głowach. Kobiety w kolorowych strojach i chustach na głowach lub z zasłoniętymi twarzami prowadzą śniade dzieci.

AFRAH NIE LUBI SYNOWEJ

Bezbarwna równina, z płaskimi wzgórzami na horyzoncie, daje przedsmak Sahary. Przy drodze raz po raz bieleją kości padłych zwierząt, na wpół zagrzebane w piasku. Wysuszone czaszki spoglądają w niebo pustymi oczodołami.

Zjeżdżamy z szosy, kierując się w stronę szczerzej pustyni. W tej okolicy znajduje się koryto Wadi al-Malik, sezonowej rzeki, która w porze deszczowej jest lewostronnym dopływem Nilu. Dziś, pod koniec pory suchej, nie ma tu ani odrobiny wody. Po gorącym pustkowiu hula tylko pustynny wiatr i włóczą się stadka wielbłądów, obgryzając listki kolczastych krzewów. Są własnością żyjących tu nomadów, których osady są zgrupowane wokół kilku studni. Znaczna część tych zwierząt hodowana jest na mięso, które podobno bardzo długo utrzymuje świeżość. Jak przed wiekami wiele z nich sprzedaje się do Egiptu. Dawniej wędrowały na północ w karawanach, a uciążliwa podróż trwała tygodniami. Dziś najczęściej są przewożone, a stary szlak przez pustynie, zwany Drogą 40 dni, odchodzi w przeszłość.

Po godzinie jazdy pojawiają się wzgórza. Ich kamieniste zbocza odbijają się czernią od

I STĄD TEŻ 40 WIEKÓW PATRZY NA NAS

Świątynię Amona w Soleb wzniósł osiemnaście wieków przed Chrystusem faraon Amenhotep III. Jest ona najciekawszą w całym Sudanie pozostałością po egipskiej historii tego kraju.





morza żółtego piasku. To Jebel el Hosh, miejsce naszego dzisiejszego noclegu.

Kiedy gorące słońce chowa się za wydmiem, wraz z ciemnością nastaje chłód. Temperatura spada do kilku stopni powyżej zera, a czasem dochodzi do granicy mrozu. Na czarnym niebie migają roje gwiazd. Szkoda iść spać, ale gasnące ognisko nie pozostawia wyboru. Wąty namiot rozłożony u stóp wydmu słabo chroni przed zimnem i lodowatymi podmuchami. Słuchając w ciemnościach ponurego wycia wiatru, trudno uwierzyć, że rano znowu wstanie upalny dzień.

Miejscowi nomadzi żyją w chatkach pobudowanych z gałęzi i patyków. Po obejściu płaczą się kozy, zaglądając do wnętrza. Zadanie mają ułatwione, bo za drzwiami służy kawałek blachy falistej, przystawianej lub odstawianej, w zależności od potrzeby. Za dnia w osadzie pozostają same kobiety z dziećmi. Mężczyźni wędrują po okolicy wraz ze stadami owiec w poszukiwaniu rzadkich zielonych drzew i drewna na opał.

Z racji wieku i urodzenia palmę pierwszeństwa w osadzie dzierży Afrah. Do niej należy decydujący głos we wszystkich sprawach dotyczących tej niewielkiej wspólnoty. Jej przyzwolenie otwiera nam wstęp na teren wioski. Władcze skinienie głową, lekki ruch ręką i możemy spokojnie pętać się między domostwami, zwiedzając każdy kąt.

Afrah swoją chatę dzieli z dwiema młodymi kobietami, córką i synową, śliczną dziewczyną w kolorowej chuście. Nie lubi jej, choć nie umie powiedzieć dlaczego. Odradzała

synowi to małżeństwo. Fawzija jest zbyt ładna, a z takimi lepiej się nie żenić. Synowa przysiadła obok, lecz ostry wzrok teściowej podrywa ją na nogi. Rzuca się do paleniska, gdzie w okopconym czajniczku gotuje się woda, największy skarb na pustyni. Drżącymi z pośpiechu rękami ustawia na cynowej tacce szklaneczkę, zalewa herbatę, słodzi. Jedną ze szklanek pęka, Afrah patrzy z dezaprobatą, sapiąc ze złości.

Na niedużym palenisku pod ścianą są przyrządzane tradycyjne, proste potrawy. Maha, córka Afrah, przygotowuje właśnie kiszerę, czyli rodzaj cienkich naleśnikowych placków. Musi upiec ich dużo, aby wystarczyło dla wszystkich na cały dzień. Także dla wracających wieczorem zgłodniałych mężczyzn. Najczęściej są podawane z ostrą, paprykową pastą i niewielką ilością ciepłej zupy. Rozpoczął na drewnianej ramie gruby dywan należy

W WIRZE MODLITWY

Na omdurmańskim cmentarzu pod kopułą świątyni spoczywa Hamad al Nil, XIX-wieczny przywódca sufistów. Przed jego grobem gromadzą się derwisze. Bosonodzy mężczyźni szukają kontaktu z Bogiem. Ma im w tym pomóc ekstatyczny, wirujący taniec w kręgu rozmodlonego tłumu.



do siostrzenicy Afrah. To ona jest najlepszą tkaczką w osadzie. Kiedy wieje pustylny wiatr, dzieła jej rąk osłaniają ażurowe ściany chat przez piaskiem i zimnem.

A BOSONODZY DERWISZE TAŃCZĄ...

Na tej rozległej pustce trudno uwierzyć, że stąd niedaleko do Chartumu. A w stolicy, oddalonej o kilka godzin jazdy, zaczyna się inny świat. Ruchliwa metropolia jest usytuowana w miejscu, gdzie Nil Błękitny łączy się z Białym. Rejon spotkania dwóch rzek jest, obok Muzeum Archeologicznego, najciekawszym miejscem w zatłoczonym mieście. Ale jeszcze bardziej interesujący jest bliźniaczy Omdurman, położony po drugiej stronie wody.

Na mostach łączących oba miasta tworzą się gigantyczne korki. Warto jednak odstać swoje, aby poczuć ducha przeszłości. To tutaj niegdyś mieszkał Mahdi, charyzmatyczny przywódca powstania sudańskiego, znany wszystkim Polakom z przygód Stasia i Nel. I tu został pochowany w okazałym grobowcu, dziś odbudowanym, lecz pustym. Bo ciało Mahdiego, wywleczone z grobu przez egipsko-brytyjskie wojska, przyjęła litościwa rzeka.

Tutaj też, w piątkowe popołudnia, kiedy ulice powoli się wyludniają i zamiera ruch kołowy, na miejscowym cmentarzu gęstnieje tłum. Przedziwnie ubrani mężczyźni zgromadzeni przed niewielkim meczetem wyglądają, jakby czekali na pogrzeb. Ale pochówek odbył się dawno temu. Pod zieloną kopułą świątyni

leży Hamad al Nil, XIX-wieczny przywódca sufitów. Przed jego grobem co tydzień współcześni derwisze sławią tańcem jedyne Boga.

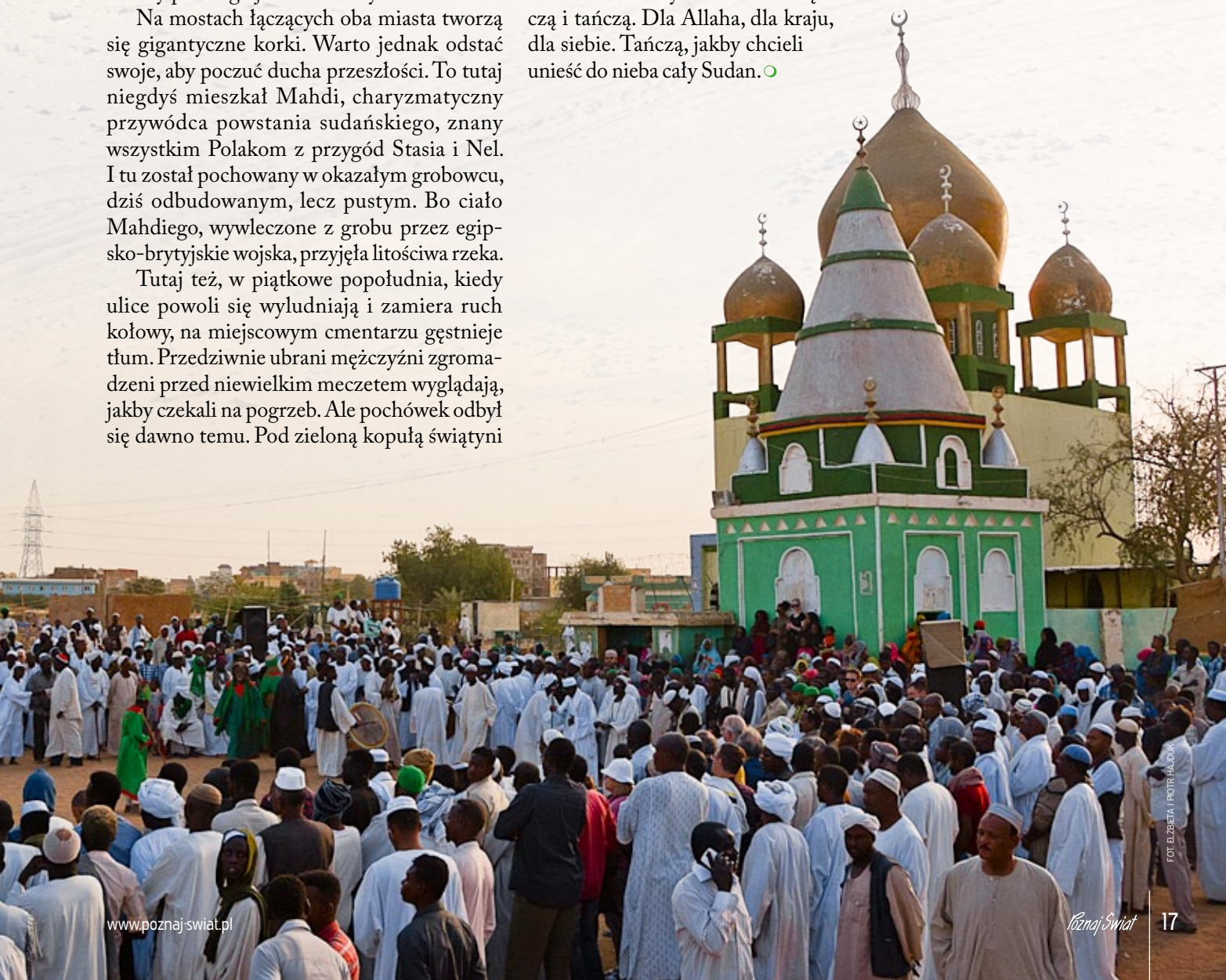
Kiedy rozlegają się dźwięki bębnów i piszczałek, pierwsi z nich z ociąganiem ruszają w płasy. Początkowo ich ruchy są łagodne, jakby nieśmiałe. Kołyszą się niespiesznie w rytm muzyki, kiwają leniwie na boki. Po chwili senne otępienie przeradza się w ekstatyczny taniec. Coraz więcej wyznawców dołącza do tańczących, coraz szybciej poruszają się bose stopy, wzbijając duszący kurz. Wirują w zapamiętaniu, wznoszą okrzyki, padają na ziemię, wstają, biegną i podskakują. Powoli formują się grupy tańczących wykonujących w uniesieniu te same ruchy. Wokół stoi tłum gapiów. Śmieją się, jedzą, rozmawiają. Żyją.

A bosonodzy derwisze wciąż tańczą i tańczą. Dla Allaha, dla kraju, dla siebie. Tańczą, jakby chcieli unieść do nieba cały Sudan. ◯



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista. On inżynier, umysł ścisły. Zjeździli razem pół globu. On w podróżach szuka mocnych wrażeń, ona – urody świata. I każde znajduje to, co lubi. Wspólnie z córką Kasią napisali książkę o podróży po Afryce „Dalek są tylko lwy”.





TAM, GDZIE RZĄDZI POGODA

Adam Jarniewski



„Lot opóźniony, kolejna informacja za godzinę” – to bardzo częsta wiadomość, z którą na lotnisku spotyka się statystyczny mieszkaniec Grenlandii. Poruszanie się po tej wyspie, o powierzchni ponad 2 mln km² (7 razy większej od Polski) i w 80 proc. pokrytej lodem, nie jest proste. Nie ułatwia go i to, że osady i miasteczka nie są połączone siecią dróg, a linia brzegowa, na której są rozrzucone, jest poprzecinana licznymi fiordami oraz naszpikowana strzelistymi szczytami.



i kajaków. Z kolei na zimowe polowania czy odwiedziny wybierano się przy użyciu niezawodnych psich zaprzęgów.

Również i dzisiaj Grenlandczycy sporo podróżują, a wielu z nich nie jest w stanie zagrać na dłużej miejsca w tej samej osadzie czy miejscowości. Umiaki i kajaki zostały dziś zastąpione przez łodzie motorowe, a psie zaprzęgi – przez skutery śnieżne. Główną formą transportu między tutejszymi miastami i osadami są dziś jednak statki powietrzne. Na wyspie znajduje się 13 lotnisk, z czego dwa mają status międzynarodowy; cztery są lotniskami szutrowymi, w ogóle niewyasfaltowanymi.

Transport, tak samo zresztą jak wiele innych dziedzin życia, to ogromne wyzwanie w tym arktycznym kraju, liczącym zaledwie 56 tys., ale dość mobilnych, obywateli. Bo Grenlandczycy przymieszczały się tutaj od zawsze. W porze letniej, by zebrać niezbędne zapasy na czas zimna, eksplorowano wybrzeża wyspy za pomocą umiaków (inuicka łódź żaglowo-wiosłowa)

PODRÓŻE BEZ PLANU

Jak się tam dostać? Linią lotniczą, najłatwiej z Kopenhagi. Ze stolicy Danii na „zieloną wyspę” zabierze nas samolot rejsowy AirGreenland. Bilet nie należy do najtańszych – za cztery godziny lotu trzeba zapłacić ok. 1500 zł. Za tyle właśnie czerwony airbus zabierze nas do Kangerlussuaq – „wrót do Grenlandii”,



osady wybudowanej w czasie zimnej wojny przez US Army i oddanej tutejszym władzom po jej zakończeniu. To tam znajduje się największe na wyspie międzynarodowe lotnisko (drugie leży w Narsarsuaq), z którego do osad na całym zachodnim wybrzeżu latają małe samoloty turbośmigłowe typu DASH. Natomiast aby dotrzeć do miejscowości, gdzie nie ma pasa startowego, należy dodatkowo przesiąść się w helikopter.

W Kangerlussuaq mieszka około 500 mieszkańców, w większości zatrudnionych przy obsłudze lotniska lub parających się turystyką i łowiectwem. Bo oprócz lotniska, szkoły, urzędu pocztowego i kilku mniejszych firm usługowych nie ma innych miejsc pracy. Jako że osada leży na samym końcu fiordu wcinającego się 200 km w głąb lądu, nie ma w niej typowej dla grenlandzkich miejscowości przetwórci ryb czy krewetek. A dojeżdżać do pracy przecież się nie da, skoro Kangerlussuaq od najbliższej miejscowości dzieli 7 godzin łodzią latem lub odrobinę mniej skutermem śnieżnym zimą. I to „przy dobrej pogodzie”, bo

tak zwykło się tu mawiać podczas określania czasu podróży.

Aura ma wpływ na życie mieszkańców Grenlandii w stopniu dużo większym niż w Europie. Jeżeli nie jesteś w stanie pogodzić się z dwudniowym opóźnieniem samolotu, lepiej się na tę wyspę nie wybierać. Samo Kangerlussuaq jest akurat stabilne pod tym względem – tam pogoda prawie zawsze umożliwia start i lądowanie. Amerykanie dobrze o tym wiedzieli, sytuując lotnisko z dala od wybrzeża. Gorzej jest w innych osadach. Reakcja nieprzyzwyczajonego do takiego stanu rzeczy Europejczyka to najczęściej frustracja. Ja chrzest bojowy przeszedłem, kiedy razem z grupą moich uczniów miałem udać się na szkolną wymianę do Francji. Tygodnie pracy i przygotowań wokół projektu poszły na marne – po prostu dowiedzieliśmy się, że nie polecimy i już.

WSZĘDZIE BLISKO...

Spojrzenie na fiord Kangerluarsuk Tulleq, oddalony o 30 minut jazdy skutermem od Sisimiut. Stamtąd do najbliższej osady (Kangerlussuaq) już „tylko” 160 km, czyli 4 godziny skutermem lub 2 dni psim zaprzęgiem – oczywiście przy dobrej pogodzie.



Z czasem więc uczysz się, żeby na Grenlandii za wiele nie planować. Lepiej podchodzić do wszystkiego spontanicznie, a ewentualne problemy rozwiązywać, jak już się pojawiają.

PO WODZIE I LODZIE

Trudno w to uwierzyć, ale zorganizowany pasażerski transport morski na tej największej wyspie świata praktycznie nie istnieje. Wyjątkiem jest tu statek linii Arctic Umiaq Line, kursujący między położonym na południowym krańcu wyspy Qaqortoq a usytuowanym w zatoce Disko miasteczku Ilulissat (4,9 tys. mieszkańców) w zachodniej części wyspy. Podróż na całej tej trasie trwa trzy dni, a może zostać przedłużona nie tylko przez sztormy, lecz również przez grubą lodę zamykającą drogę do portów, czy nawet uniemożliwiający poruszanie się po otwartym morzu.

Nie oznacza to jednak, że Grenlandczycy nie przemieszczają się po morzu. Umiaki i kajaki już dawno zostały zastąpione przez

łódzie motorowe, dzisiaj najczęściej spotykane, z przewymiarowanymi w stosunku do ich wielkości japońskimi silnikami zaburtowymi. Duża ilość koni mechanicznych ma przede wszystkim wprowadzić wypełnioną rybami motorówkę w ślizg. Łódź daje możliwość uzupełnienia skromnego i nudnego asortymentu tutejszych sklepów spożywczych w takie przysmaki arktycznej diety, jak halibut, łosoś, palia czy zębacz.

Grenlandzkie porty są wypchane dużo gęściej niż parkingi samochodowe, bo własny transport pływający umożliwia nie tylko zaczerpnięcie morskiego powietrza, ale i wydostanie się z odizolowanej osady. Posiadaczem łodzi jest niemal każdy przebywający tu na stałe. Używa jej na przykład do weekendowych wypraw łowieckich na renifera oraz kiedy chce odwiedzić rodzinę zamieszkałą w „najbliższym” miasteczku, oddalonym 100 km od swojego miejsca zamieszkania.

A zimą? W większości rejonów transport wodny jest możliwy tylko w okresie letnim

ZANIM PUSZCZĄ LODY

Tak wygląda transport łodzią w kwietniu. Na otwartym morzu lód już puścił, ale skute są nim nadal mniejsze fiordy i skalne zatoczki. W niektórych rejonach Grenlandii podróż wodą będzie możliwa dopiero za kilka tygodni.



i jesiennym. Potem wody skuwa lód, a przemieszczanie się drogą morską dodatkowo utrudnia noc polarna. Zamykający drogę lód otwiera jednak nowe możliwości... Od kilku lat obserwuje się na Grenlandii bardzo szybki przyrost liczby skuterów śnieżnych. W Sisimiut, gdzie mieszkam (5,5 tys. mieszkańców), jest ich ponad tysiąc. I nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że większość używana jest jako „zabawka” lub inaczej – wyzwalacz adrenaliny u grenlandzkiej

młodzieży, której dużo łatwiej i szybciej zatan-kować benzynę, niż nakarmić i oporządzić psy zaprzęgowe.

Psy coraz częściej stają się niezarabiającą na siebie formą rekreacji oraz atrakcją turystyczną. Skuter dużo sprawniej przetransportuje złowionego pod morskim lodem halibuta, a zimowe polowania na woła piz-mowego przy użyciu zaprzęgów to od kilku lat bardziej romantyczna forma rozrywki niż możliwość utrzymania rodziny z łowiectwa.

PARKING W PORCIE

Część jednostek pływających należących do myśliwych i rybaków zimuje przy porcie. Łodzie są wyciągane po prostu na lód – gotowe do pracy, kiedy tylko na horyzoncie pojawi się otwarte morze.



FOT. ADAM JARNEŃSKI

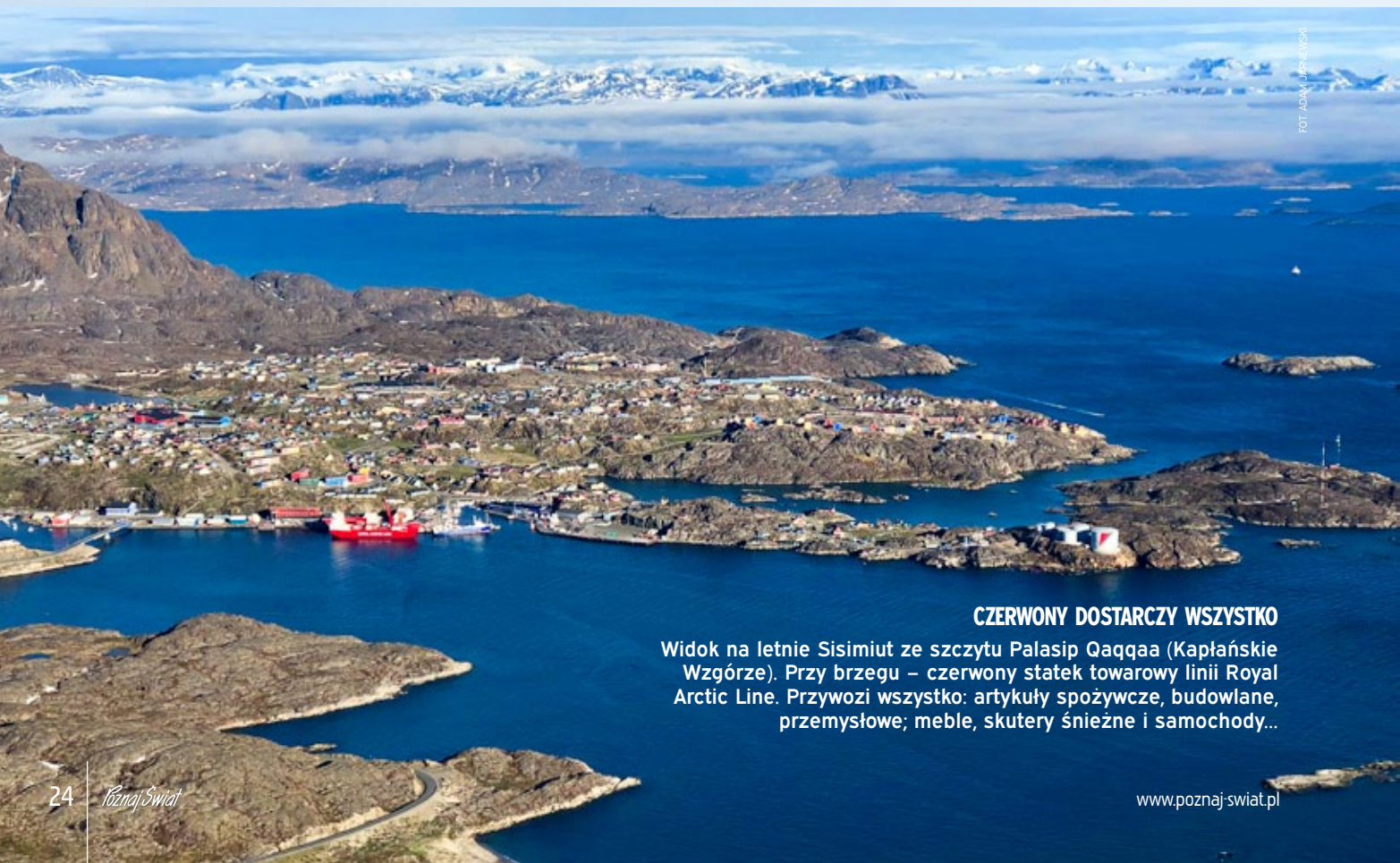
ZIMNE LOTY

Lotnisko w Kangerlussuaq, przy dawnej bazie US Army. Dzięki położeniu z dala od wybrzeża gwarantuje stabilną pogodę i pewne loty. Ale także bardzo niskie temperatury w miesiącach zimowych.



Posiadanie stadka psów jest nie tylko bardzo pracochłonne, ale i kosztowne (ok. 1700 zł miesięcznie). Pracującym coraz częściej na etatach Grenlandczykom brakuje też czasu

i ochoty na samodzielne zdobywanie pokarmu dla swoich zwierząt, toteż uciekają się do wyprodukowanych w Europie karm. Drastycznie kurczącej się liczbie psów zaprzęgowych nie



CZERWONY DOSTARCZY WSZYSTKO

Widok na letnie Sisimiut ze szczytu Palasip Qaqqaa (Kaplańskie Wzgórze). Przy brzegu – czerwony statek towarowy linii Royal Arctic Line. Przywozi wszystko: artykuły spożywcze, budowlane, przemysłowe; meble, skutery śnieżne i samochody...

pomaga również ocieplenie klimatu, które w wielu regionach poważnie skróciło sezon ich użytkowania.

KŁÓTNIA O LOTNISKO

Rozwiązania komunikacyjne na Grenlandii są w ostatnim czasie przyczyną dość ostrej debaty politycznej. W planach kilku partii jest zamknięcie międzynarodowego lotniska w Kangerlussuaq i przedłużenie pasów startowych w Nuuk (stolica wyspy i największe miasto – 18 tys. mieszkańców) oraz w Ilulissat (duża atrakcja turystyczna). Do tych dwóch miejscowości udaje się najwięcej pasażerów i dla wielu polityków logiczne jest zamknięcie Kangerlussuaq, które w praktyce jest jedynie miejscem tranzytowym oraz przechowalnią pasażerów czekających na poprawę pogody na wybrzeżu. To bardzo specyficzne miejsce, zawsze spotkasz tam kogoś znajomego. W małym jak na międzynarodowe lotnisko hallu co rusz widać wpadających sobie w ramiona Grenlandczyków, którzy niespodziewanie ujrzą dawnego niewidzianego przyjaciela czy członka rodziny.

Z kolei głównym argumentem za zachowaniem lotniska międzynarodowego w Kangerlussuaq są stabilne warunki atmosferyczne oraz sporo atrakcji turystycznych. Dzięki wybudowanej tam przez Volkswagena na potrzeby testowania samochodów szutrowej drodze jest łatwy dostęp do grenlandzkiego lądolodu. W okolicach Kangerlussuaq znajduje się również jedna z największych na świecie populacji wołów piżmowych introdukowanych w te okolice w latach 60. ubiegłego wieku.

W debatę o przedłużeniu pasów startowych wtrącił się niedawno rząd duński, proponując zainwestowanie sporych pieniędzy w projekt oraz udzielenie gwarancji finansowej na pożyczkę reszty środków i uzyskanie przychylności inwestorów. Podobno do dyskusji włączają się również Amerykanie. Zależy im na zachowaniu pasa startowego, który wraz z lotniskiem, barakami wojskowymi i całą infrastrukturą po zakończeniu zimnej wojny odsprzedali grenlandzkiemu rządowi za



Adam Jarniewski
Nie mieszkam w igloo

Gdy Adam Jarniewski przybył na lodową wyspę, nie od razu potrafił się odnaleźć. Pracował jako pomocnik przy polowaniach, przewodnik na statkach turystycznych, nauczyciel. W mroźnej Grenlandii znalazł nowy dom. W Sisimiut założył rodzinę. Książka „Nie mieszkam w igloo” przedstawia realia życia na wyspie.

A może by tak rzucić wszystko i wyjechać na Grenlandię?

www.muza.com.pl

POZNAJ ŚWIAT POLECA

symbolicznego dolara. W kularach mówi się, że Amerykanie chcą w ten sposób odstraszyć kręcących się coraz bliżej Arktyki Chińczyków. W trudną grenlandzką infrastrukturę transportową wchodzi więc nawet geopolityka. W europejskich oczach omawiane zmiany to dość niewielka inwestycja, ale dla liczącej niespełna 60 tys. mieszkańców wyspy to wydatek rządu 20 proc. dochodu narodowego brutto.

Tego, że na siły natury Grenlandii nic nie poradzisz, jedni przybysze z Europy uczą się szybciej, inni wolniej, a jeszcze inni po prostu uciekają z powrotem na kontynent. Tam można sobie ponarzekać na dziesięćminutowe opóźnienie pociągu. ○

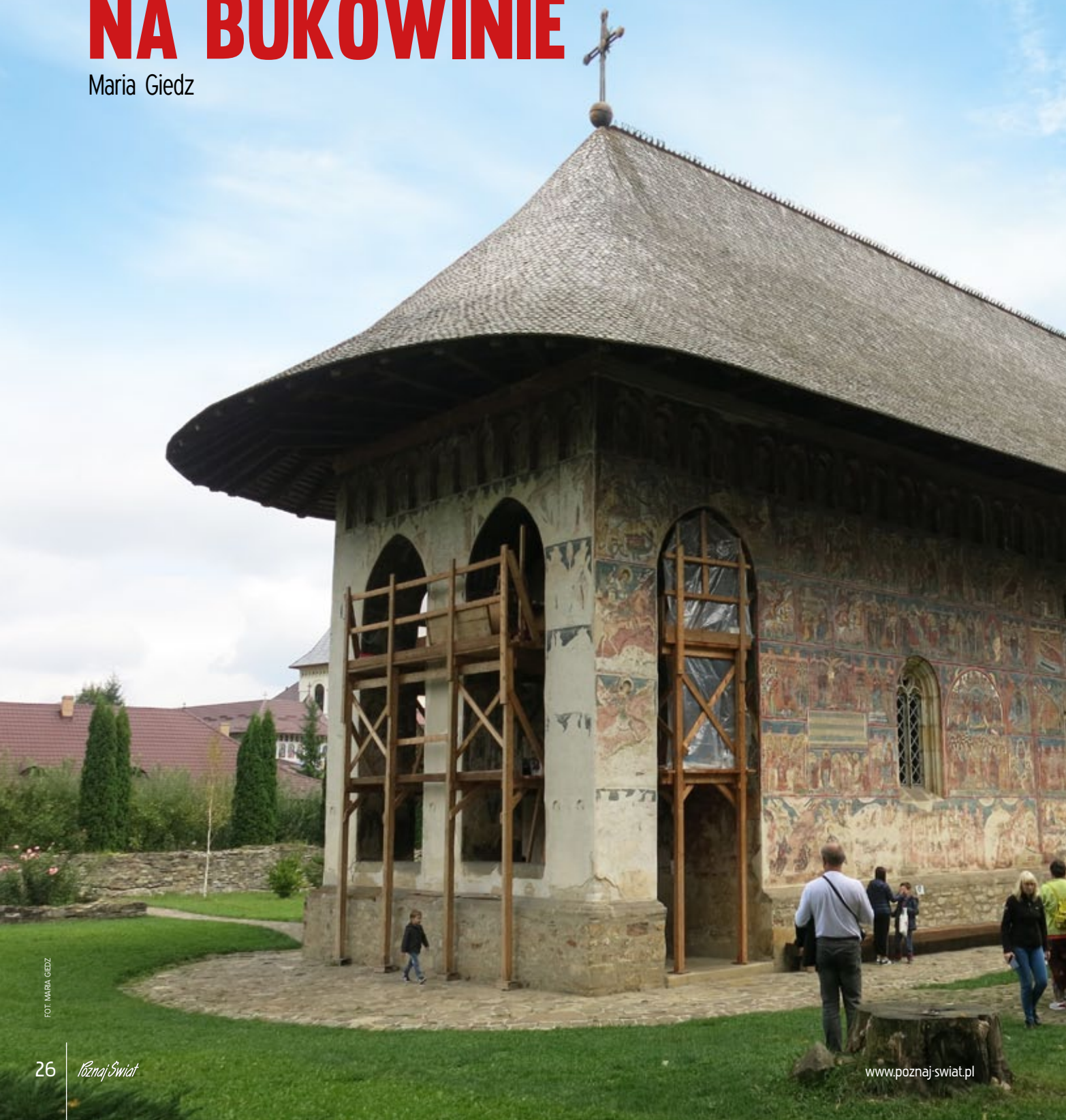


Adam Jarniewski

Mieszka w Sisimiut na Grenlandii od 2006 r. Na co dzień pracuje jako nauczyciel w szkole średniej. Jest autorem reportażu „Nie mieszkam w igloo” oraz prowadzi stronę www.poznajgrenlandie.pl

POLSKA NA BUKOWINIE

Maria Giedz





Rumuńska Bukowina słynie z malowanych XV- i XVI-wiecznych cerkwi wpisanych na listę UNESCO. Są to niezwykle świątynie, najczęściej połączone z klasztorami przynależnymi do Rumuńskiego Kościoła Prawosławnego. Jednak dla Polaków dużą wartość, ale i atrakcję turystyczną, stanowią polskie wioski utworzone pod koniec XVIII i w XIX w. Jest tam kopalnia soli, najważniejsze w Rumunii sanktuarium maryjne, a także piękne tereny do wędrówek po niewysokich górach przypominających Beskidy.

Pomiędzy Karpatami Wschodnimi a środkowym Dniestrem rozciąga się kraina zwana Bukowiną. Od II wojny światowej jest podzielona na dwie części: północną, przynależną do Ukrainy, i południową, znajdującą się na terytorium Rumunii. Historia Bukowiny jest niezwykle skomplikowana, bowiem na tym obszarze ścierały się różne kultury wielu narodów. To przez nią przebiegały główne szlaki handlowe łączące Rzeczpospolitą z Morzem Czarnym. Wędrowali nimi kupcy słowiańscy, arabscy, żydowscy, ormiańscy... Mimo że przez lata w znacznym stopniu były to pustkowia, o ziemie te walczyły najróżniejsze armie, w tym wojska polskie.

BOŻY HUMOR

**Monastyr Humor
pw. Wniebowzięcia
Matki Boskiej,
wzniesiony
w latach 1530–
1535. Zalicza się
do piękniejszych
malowanych cerkwi
rumuńskiej Bukowiny.**



RUMUŃSKA JAK SYKSTYŃSKA

Monastyr Voroneț
jest nazywany kaplicą
Sykstyńską Wschodu.
Na zachodniej elewacji
znajduje się wspaniałe
przedstawienie
Sądu Ostatecznego.

MADONNA TRONUJĄCA

Monastyr Voroneț.
Fragment malowidła
na zewnętrznej ścianie
absydy przedstawia
zasiadającą na
tronie Madonnę
z Dzieciątkiem
w otoczeniu aniołów.



KAPLICA SYKSTYŃSKA WSCHODU

Przed zachodnią elewacją jednona-
wowej, murowanej cerkwi Voroneț,
zwieńczonej wieżą ze szpiczastym da-
chem, gromadzą się tłumy turystów.
Mniszka w czarnym habicie wyjaśnia
znaczenie detali w monumentalnej
kompozycji Sądu Ostatecznego wy-
malowanej na zewnętrznej ścianie.
Jest tam Bóg Ojciec i anioły zwijające
niebo, bo właśnie nastał koniec świata.
Poniżej znajduje się tronujący Chry-
stus w scenie *deesis* z Marią, Matką
Jezusa, i Janem Chrzcicielem. U stóp
Chrystusa bierze początek piekielna,
czerwona rzeka, w której Lewiatan,
legendarny potwór morski, oczekuje
na dusze potępionych. Po prawej



FOT. MARIA GEDZ

i lewej stronie są apostołowie, hierarchowie, prorocy, święci. Są też potępieni, a więc Żydzi, Turcy, Tatarzy. Jest również waga sprawiedliwości podtrzymywana przez dłoń Chrystusa, scena walki aniołów z diabłami o dusze zmarłych i wielki mur oddzielający piekło od czyśćca, z którego prowadzą wrota do nieba. Cała kompozycja jest niezwykle barwna, przeważa szeroka paleta błękitów.

Sąd Ostateczny nie jest jedynym malowidłem na zewnętrznej ścianie cerkwi wzniesionej w 1488 r., a ufundowanej przez Stefana Wielkiego, władcę Mołdawii, jako wotum dziękczynne za zwycięstwo nad Turkami w 1476 r. O bitwie tej Jan Długosz napisał, że był to pierwszy wielki sukces w walce z Turkami w Europie. Kilkadziesiąt lat później, w 1547 r., Peter Rares, po namowie mołdawskiego metropolity Grzegorza Rosca, rozpoczął pokrywanie zewnętrznych murów cerkwi

niezwykłymi malowidłami. Są wśród nich sceny ukazujące życie św. Mikołaja, św. Jana Nowego, męczennika i patrona Mołdawii. Jest też przedstawienie św. Jerzego, zwiastuna zwycięstwa i patrona cerkwi. Całość stanowi fantastyczną, ilustrowaną opowieść zwaną „Biblią pauperum”, czyli „Biblią dla ubogich”, dla tych, którzy nie potrafili czytać i którzy nie byli godni wejść do wnętrza cerkwi, również bogato zdobionego.

O cerkwi tej mówi się, że to „kaplica Sykstyńska Wschodu”, mimo że nie jest to jedyna cerkiew na Bukowinie tak pięknie malowana. Za to uchodzi za najstarszą spośród pięciu najpiękniejszych. Choć na ten temat zdania są podzielone, bowiem pierwszy monastyr wzniesiono w miejscowości Proboti w 1398 r., ale został on zniszczony, po czym odbudowany już w XVI w. Podobna sytuacja miała miejsce w miejscowości Putna, gdzie

CERKIEW JAK MALOWANIE

Cerkwie są malowane również wewnątrz. Zachowały się w nich przepiękne, stare ikonostasy, czego przykładem jest m.in. wnętrze monastynu Voroneż.

KACZYKA BEZ SOLI

Wieś Kaczyka – budynki byłej kopalni soli wzniesione dzięki polskim górnikom z Bochni i Wieliczki, sprowadzonym tu przez władze austriackie pod koniec XVIII w. Obecnie jest to muzeum.



FOT. MARIA GEDZ

pierwsza cerkiew spłonęła, a kolejna została zniszczona przez trzęsienie ziemi. Dzisiaj jest to XVIII-wieczna budowla.

Na uwagę zasługuje też zespół klasztorny w miejscowości Humor z cerkwią Wniebowzięcia Marii Panny wzniesioną w 1530 r. Jego zewnętrzne ściany w 1535 r. zostały całkowicie zamalowane przez mistrza Toma z Suczawy. Pozornie są to malowidła zbliżone do tych, które znajdują się na ścianach cerkwi w Voroneț, Moldovița, Arbore, Sucevița. Jednak w Humor dominującym kolorem jest czerwień, a w Sucevița i Arbore przeważa zieleń.

– „Dobry zdrowie” to gwara górali czadeckich, a ja jestem ich potomkiem – wyjaśnia Victoria Longher, pani poseł, jak się okazuje, jedyny przedstawiciel mniejszości polskiej w rumuńskim parlamencie. – *To stare polskie powiedzenie jest skierowane tylko do „swoich”, bo do obcych mówi się „dzień dobry”. Czasem zdarza się, że ludzie starsi witają przyjezdnych, jeśli domyślają się, że są to Polacy, słowami „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” albo „szczęść Boże”. Natomiast o poranku wszyscy pozdrawiają się słowami: „dobre utro”. W naszej gwarze mamy sporo słów słowackich, bo nasze rdzenne terytory znajdują się w górach na pograniczu Polski i Słowacji.*

Starsza kobieta podchodzi do mnie i zadaje pytanie: – *A wy Polacy?* – I dodaje: – *Dobrze się w wami spotkać.*

Nowy Sołoniec jest sporą polską wsią na Bukowinie rumuńskiej, założoną przez Polaków, a dokładnie przez górali czadeckich w 1834 r. Obecnie we wsi mieszka ponad 200 rodzin, czyli ponad 800 osób.

WOKÓŁ POJANY

Pojana Mikuli, drogowskazy z pieszymi szlakami turystycznymi wytyczonymi wokół wsi i na okoliczne wzgórza, które są niezwykle malownicze.

DOBRY ZDROWIE

Przed budynkiem Domu Polskiego w Nowym Sołonce wita mnie nieznajoma ubrana po miastowemu. Zwraca się słowami: – *Dobry zdrowie.* Zastanawiam się, dlaczego nie „dobry wieczór”, skoro właśnie nastał zmierzch.



– *We wsi osiedlili się tylko górale czadeccy, bo przyjechaliśmy z czadeckiego dekanatu* – opowiada Anna Zielonka, kierowniczka zespołu pieśni i tańca Sołonzanka. – *Mamy kościół Du-cha Świętego i szkołę im. Henryka Sienkiewicza. Nasz zespół powstał w 1991 r. Są w nim i dzieci, i osoby starsze, razem ponad 70 osób.*

POLSCY OSADNICY

Historia Polaków zamieszkujących tereny zwane Bukowiną sięga średniowiecza, ale niezbyt wiele o tym wiadomo. Ponoć już za czasów panowania Kazimierza Wielkiego w Cecynie, na terenach obecnej Bukowiny północnej, znajdowała się murowana strażnica obsadzona polskimi wojami. W Serecie, na Bukowinie południowej, znajdowały się klasztory dominikanów i franciszkanów z Polski. Mieszkało też na tych terenach wielu polskich kupców i rzemieślników.

Najwięcej jednak wiemy o Polakach, którzy przywędrowali na Bukowinę, tę obecnie

rumuńską, pod koniec XVIII w. i w pierwszej połowie XIX w. Kiedy w 1775 r. Bukowina znalazła się w granicach państwa austriackiego, rozpoczęły się poszukiwania złóż soli. W 1788 r. na tereny, gdzie występowały źródła solankowe, sprowadzono 20 polskich rodzin górników z Bochni i Wieliczki oraz 4 rodziny ukraińskie. Potem przyjechali kolejni osadnicy. To dzięki ich pracy powstała kopalnia soli, a wokół niej wyrosła wieś, którą nazwano Kaczycza od licznie gromadzących się na okolicznych bagnach kaczek. Po II wojnie światowej część potomków tychże górników w ramach akcji repatriacyjnej wyjechała do Polski, głównie do Zielonej Góry, Krosna, Bielawy, Warszawy... Do dzisiaj mieszkają na Dolnym Śląsku, w Lubuskiem i na Pomorzu Zachodnim.

Obecnie w kaczyskiej kopalni sól wydobywa się w ilościach śladowych, a właściwie nie sól, lecz solankę, i to z najniższych poziomów. Zakład został zamknięty. Pracę stracili niemal wszyscy mieszkańcy Kaczycza i okolicznych wiosek. Część szybów jest udostępniana

KAPLICZKA GRANICZNA

Wnętrze kapliczki dzielącej wieś Pojana Mikuli na część polską i niemiecką. Pod koniec lat 30. XIX w. w dolnej części doliny osadzono 40 rodzin polskich, a w górnej – 40 niemieckich. Dzisiaj pozostali Polacy. Miejsce Niemców zajęli Ukraińcy.



PANI HANKA

Jest mistrzynią w gotowaniu polskich potraw. Wywodzi się z górali czadeckich, którzy do Nowego Sołonia przybyli w czasach zaborów, w latach 30. XIX w. W Polsce nigdy nie była, ale mówi piękną staropolszczyzną.





FOT. MARJA GEDZ.

SOŁONCZANKA

Polski dziecięcy zespół taneczny w Nowym Sołońcu. Na rumuńskiej Bukowinie działa także Zespół Górali Czadeckich „Mała Pojana” w Pojanie Mikuli. W ich repertuarze znajdują się staropolskie pieśni i tańce.

turystom, ale do wnętrza kopalni trzeba zejść po 150 schodach i czuć w niej zapach nafty. Mimo to warto się tam wybrać, bo w kopalni znajduje się sporo ciekawostek, m.in. solna kaplica św. Barbary, w której górnicy modlili się przed pracą i po niej. Jest też kapliczka prawosławna, sala balowa, boisko sportowe, a także podziemne jezioro. Na ścianach korytarzy można zobaczyć wykute w soli płaskorzeźby.

Na początku XX w. w Kaczykach krakowscy misjonarze, z myślą o mieszkających tam Polakach, wzniesli neogotycki kościół katolicki, konsekrowany 26 października 1904 r. W jego wnętrzu umieścili kopię „Czarnej Madonny”, po miejscowemu – wizerunek Matki Boskiej Kaczyckiej, patronki Bukowiny. Miejsce to jest uznawane za jedno z najważniejszych katolickich sanktuariów maryjnych w całej Rumunii.

W latach 30. XIX w. na Bukowinę przybyli polscy osadnicy zajmujący się rolnictwem, wyrębem lasów, budową drewnianych domów. Grupę tę tworzyli górale czadeccy. Władze austriackie pierwotnie zamierzały zasiedlić

południową Bukowinę Niemcami sudeckimi. Jednak zdecydowano, że to Polacy do zamieszkania otrzymają dolinę rzeki Sołonec i jej okolice.

Kolejną grupę emigrantów z Polski tworzą osadnicy z Rzeszowszczyzny, robotnicy kolejowi, którzy na Bukowinę przybyli w latach 70. XIX w. Zasiedlili wieś Bułaj, Wikszany, Mihoweny. Sprowadzono ich do budowy linii kolejowej z Suczawy do Kimpulungu Mołdawskiego. Spora też grupa Polaków mieszka w Suczawie, stolicy Bukowiny.

Wszyscy bukowińscy Polacy osiedlili się w 10 miejscowościach, mówią po polsku, a właściwie bardziej po staropolsku. Tak trochę inaczej, z lekkim zaśpiewem. Wielu z nich nigdy w Polsce nie było. Tu się urodzili, tu ukończyli szkołę i tu w wyjątkowy sposób dbają o zachowanie polskości. Pani Hanka jest mistrzynią w gotowaniu polskich potraw, zwłaszcza bigosu. Pani Gieńcia zna różne polskie pieśni i pięknie śpiewa, a kiedyś, za młodu, tańczyła w polskim zespole. Mieszkańcy każdej wsi dbają o kultywowanie

tradycji. Przyjechali w czasach zaborów, przeżyli niemiecką okupację, a także socjalistyczną indoktrynację, kiedy to nauczanie polskiego było niemożliwe. Mimo to zachowali mowę ojców. Pomagali im w tym księża i to też niekoniecznie polscy.

ZACZEŁO SIĘ OD „ZDROWAŚ MARIO”

Proboszczem w Pojana Mikuli jest ksiądz Gabriel, rodowity Rumun, pochodzący z południowych terenów kraju, co widać po jego śniadej twarzy. Jako młody chłopak wychowywał się u Polaków w Mołdawii. Tam często słyszał odmawianą przez nich modlitwę „Zdrowaś Mario”. Spodobał mu się dźwięk słów i rytm tekstu. Nauczył się jej na pamięć, a potem zaczął naukę języka polskiego. Kiedy dorósł, postanowił zostać księdzem. Po święceniach kapłańskich zgłosił się do biskupa i poprosił o przydzielenie mu pracy w polskiej parafii. I tak trafił na Bukowinę do wsi Pojana Mikuli, która przez lata była rozdzielona kapliczką na dwie części: polską i niemiecką. Kapliczka z dwujęzycznym napisem stoi w samym środku wsi do dzisiaj, chociaż Niemców już nie ma, wyjechali kilkadziesiąt lat temu.

– Proboszczem w Pojana Mikuli jestem już 12 lat – opowiada ks. Gabriel. – Pracuję sam. Nie mam nikogo do pomocy. Po polsku nie mówię jeszcze dobrze. Uczę się od dzieci, które mają zajęcia z polskiego w tutejszej szkole. Kazania staram się mówić po polsku, chociaż nie zawsze mi to dobrze wychodzi. Po wyjeździe Niemców ich miejsce zajęli prawosławni Rumuni i Ukraińcy. Jednak to my mamy we wsi dwa kościoły. Ten stary, pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa, wzniesiony przez Niemców i Polaków w 1894 r., oraz nowy pw. Jana Pawła II, poświęcony w 2011 r. Jest to pierwszy w Rumunii kościół pod tym wezwaniem i trzeci na świecie. Bardzo jesteśmy z tego dumni, bo w polskiej wsi mamy świątynię z polskim patronem.

Niemłody już pan Jurek, spotkany przed rodzinnym domem w Pojana Mikuli, twierdzi, że ich rumuński ksiądz „ma polską wiarę i odpowiada po polsku”.

– Jedna niedziela jest odprawiana po polsku, druga po rumuńsku. Ksiądz bardzo trzyma polskość, pomimo że jest Rumunem – wyjaśnia



pan Jurek. – *Mamy też we wsi polską szkołę wybudowaną za pieniądze z Polski. Mieszka tu 250 rodzin – razem 517 osób, połowa z nich to Polacy, głównie dzieci i żony, bo mężowie gdzieś w świecie pracują.*

Problemem bukowinских Polaków jest brak perspektyw. Młodzi nie widzą tu dla siebie przyszłości. Wyjeżdżają do pracy w Niemczech, Holandii. Przemysłu w okolicy nie ma, kopalnia nieczynna, a przyzagrodowe rolnictwo nie przynosi dochodów. Niektórzy próbują stawiać na turystykę, bo okolica jest bardzo piękna. Niewysokie góry i wyznaczone szlaki turystyczne zachęcają do wędrówek. Część mieszkańców Kaczyk zajęła się obsługą turystów zwiedzających kopalnię soli oraz pielgrzymów przybywających do sanktuarium maryjnego, głównie na odpust 15 sierpnia. Pozostali?

Ghervazen (Gerwazy) Longher, były poseł do rumuńskiego parlamentu i Prezes Związku Polaków w Rumunii, twierdzi, że obecnie w Rumuni mieszka około 7 tys. Polaków, z tego 6 tys. na Bukowinie. On sam mieszka w Suczawie, ale chętnie przyjeżdża do Nowego Siołca, bo stąd pochodzi jego rodzina.

– *Ludzie nie są tu zamożni, ale jakoś sobie radzą. Nie wszyscy chcą wyjeżdżać, bo kochają te tereny. To my tworzymy tu Polskę, chociaż Polska jest daleko* – stwierdza Gerwazy. ○

JAK W DOMU

Dom Polski w Nowym Siołcu został otwarty w listopadzie 2014 r. Środki na budowę przekazały władze Polski. Odbывают się tu różne uroczystości. Można w nim również przenocować.



Maria Giedz

Dziennikarka, podróżniczka, doktor politologii, nauczyciel akademicki. Przewiodowała kilka kontynentów, napisała wiele reportaży, w tym z rejonów objętych działaniami wojennymi (Irak, Bałkany, Syria). Znawczyni problematyki kurdyjskiej, autorka książek: „Grabarka, sanktuarium Kościoła prawosławnego” (1987), „Węzeł kurdyjski” (2002), „Kurdystan, bez miejsca na mapie” (2010), a także najnowszej publikacji „Pomorze mniej znane” (2018).



PIĘĆ DNI MARSZU

Trekking na szczyt Roraimy (2810 m n.p.m. – po prawej w chmurach) to trzy dni pod górę i dwa z powrotem. Po lewej jej mniejszy, choć trudniej dostępny, brat Kukenán (2680 m n.p.m.).

Piotr Miklaszewski

SAM NA SAM Z RORAIMĄ

Przez wielu jest oceniana nadal jako najpiękniejszy kraj Ameryki Południowej. Kiedy kierowaliśmy się w roczną podróż po tym kontynencie, nie planowaliśmy dokładnie, gdzie pojedziemy. Łatwiej było zdecydować, gdzie nie zawitamy, i Wenezuela była jednym z tych miejsc – otoczona ostatnio złą sławą. Jednak plany mają to do siebie, że lubią się zmieniać, a płaskowyż Roraima był wystarczającą do tego zachętą.

TEPUI, ŚWIĘTE GÓRY

W lokalnym języku są nazywane *tepai*. Jak niemal w każdej kulturze, także i te góry były uznawane za święte. Najpiękniej prezentują się na godzinę przed zachodem słońca. Nieustannie spływa tu kilka większych wodospadów, a w czasie deszczu pojawiają się dodatkowe mniejsze.



Podczas rejsu barką po Amazonce spotkaliśmy kilku Wenezuelczyków, którzy studzili doniesienia zachodnich mediów. W czasie przesiadki w brazylijskim mieście Manaus, położonym w samym środku amazońskiej dżungli, również doszły nas głosy, że południowa Wenezuela jest wciąż miejscem, gdzie można bezpiecznie podróżować. A na tych właśnie terenach znajduje się gigantyczny Park Narodowy Canaima, gdzie

amazońska dżungla miesza się z górami oraz intrygującymi formami skalnymi w kształcie ściętych wież (tzw. *tepui*). Ta mieszanka dostarcza cudów natury, takich jak najwyższy wodospad świata Salto Angel czy płaskowyż Roraima, wysoki na 2810 m n.p.m. i z unikalnym ekosystemem. To podobno tym miejscem inspirował się Arthur Conan Doyle, tworząc powieść „Zaginiony świat”.

INFLACJA PO WENEZUELSKU

Wbrew medialnym plotkom granica brazylijsko-wenezuelska jest rzadko zamykana, zazwyczaj tylko wtedy, kiedy prezydent dyktator Maduro wprowadza w życie jakiś kolejny pomysł „naprawy” kraju. Co ciekawe, wielu Wenezuelczyków nie uważa go za całkiem złego człowieka, twierdzą natomiast, że jest potwornie głupi.

Na granicy brazylijski policjant zaproponował nam czas na kawę i ponowne przemyślenie swoich zamiarów co do Wenezueli. Gdy nie udało się nas zniechęcić, przeszedł do szybkiej lekcji wprowadzającej. Ostrzegł, że najbardziej prawdopodobnym niebezpieczeństwem będzie wojsko. Ustawia ono punkty kontrolne na drogach, gdzie przy okazji poszukiwania narkotyków, złota i diamentów z czarnego rynku, a także handlarzy bronią i wrogów politycznych, okrada zwykłych ludzi ze wszystkiego, co wartościowe. Czasem nawet z zapasów jedzenia. To, że wojsko jest najgorsze, usłyszymy potem jeszcze kilka razy od zwykłych ludzi.





FOT. PIOTR MIKULCZAK

MIĘSOŻERNE KWIATKI

Rośliny z gatunku *heliconia* są owadożerne i występują tylko w rejonach Wyzyny Gujańskiej. Owad, który trafi do ich kielicha, topi się w zgromadzonym płynie. Wewnątrz znajdują się włoski, które utrudniają wydostanie się ofiarom. Trawieniem zajmują się obecne w płynie bakterie.

Kolejna szybka lekcja dotyczyła kursu waluty: za jednego brazylijskiego reala (ok. 1,1 zł) powinniśmy otrzymać minimum 55 tys. wenezuelskich boliwarów. Za ledwie trzy godziny później w Santa Elenie, największej mieścinie w okolicy, odkryliśmy, że nie jest to już 55, ale 90 tys., a w trakcie naszego trzytygodniowego pobytu kurs wzrósł z 90 do 130 tys. boliwarów. Z kolei za jednego dolara na czarnym rynku można było wówczas dostać, w zależności od regionu, od 600 tys. do 2 mln boliwarów.

Po takiej lekcji, gdy o zachodzie słońca na pacy pick-upa wjeżdżaliśmy do Santa Eleny, czuliśmy prawdziwy niepokój. Tymczasem centrum miasteczka przypominało jeden wielki festyn. Wszędzie kipiało życie i grała muzyka. Pełno przydrożnych stoisk z jedzeniem i mieszkańców posilających się różnymi daniami. Co kilka metrów otwarty sklep z półkami pełnymi towaru. Jednym słowem, normalny kraj. No może przesada, ale jeśli ktoś pamięta czasy PRL-u, to Wenezuela, która nas przywitała, wyglądała jak kraj nieźle zaopatrzony. W sklepach znajdowało się mniej więcej wszystko, co niezbędne do przeżycia, oczywiście w podstawowym asortymencie. Zaskakujące natomiast okazywały się ceny – z niespotykanymi wahaniami pomiędzy poszczególnymi sklepami.



FOT. PIOTR MIKULCZAK

W jednym karton mleka kosztował 450 tys. boliwarów, a zaraz obok już 530 tys., z kolei pięć metrów dalej tylko 390 tys. Najwidoczniej wszystko zależało od dnia, w którym sprzedawca dokonał zaopatrzenia sklepu, i tego, jaki był wówczas kurs bolwara. Tempo jego zmian zaś, związane z rozpadającą się gospodarką kraju i galopującą inflacją, wyglądało na zastraszające.

Za 10 zł zjedliśmy najpyszniejszego w życiu burgera. Trafiliśmy również na piekarnię, w której wybór pieczywa i ciastek przerastał niejednego warszawski zakład. I nie było



to wszystko na pokaz, dla turystów, skoro prawie wcale ich nie ma. Jediną pozostałością po nich są jeszcze agencje turystyczne, które wciąż mają tutaj swoje siedziby (stąd najbliższe do najciekawszych zakątków Canaimy), ale klientów odbierają prosto z lotniska w Caracas i tam ich z powrotem odwożą. Kiedyś były tu tłumy Amerykanów, Australijczyków i Niemców, teraz zdarzają się jedynie takie rodzinne jak my, obywatele krajów Ameryki Południowej czy klienci wspomnianych agencji potrafiący zweryfikować medialny szum wokół Wenezueli.

Takie było pierwsze, nie najgorsze wrażenie z południa tego kraju. Ale dobrze też wiedzieć, że 100 km dalej na północ zaczyna się już nieporządek i strefa, gdzie każdy obcy może stać się bardzo łatwym celem.

TRZY DNI POD GÓRĘ

Ceny, jakie oferują agencje turystyczne, okazują się zaporowe – 300 USD od osoby. Oczywiście dostaniemy tragarzy, jedzenie, namioty, śpiwory... Wyjaśniamy, że my mamy wszystko, jedyne, czego potrzebujemy, to transportu

GÓRY I RÓWNE CHMURY

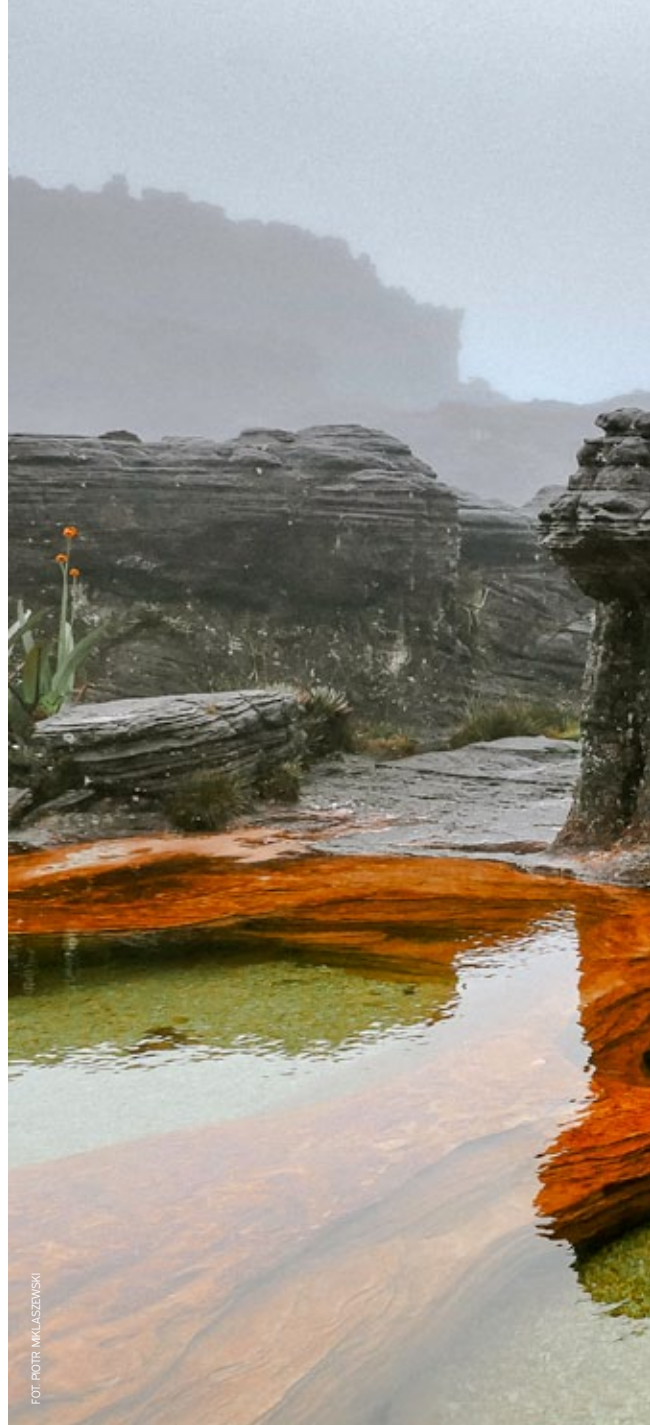
Ostatniego dnia wyprawy pogoda była najgorsza, ale już 40 minut drogi poniżej szczytu panował upał. Widoczne w oddali chmury, jak za działaniem czarodziejskiej różdżki, ułożyły się równo z krawędzią skał.

do wioski – ostatniej ludzkiej osady w pobliżu Roraimy – oraz przewodnika, bo jego wynajęcie nakazuje regulamin parku narodowego. Kobieta proponuje 400 reali (czyli ok. 400 zł) za sam transport. Wyśmiewamy propozycję i zamiast tego jedziemy 70 km autobusem za 8 zł od osoby, a 25 km dzielących Paraitepuy od drogi asfaltowej dokładamy sobie do trekkingu. Liczyliśmy, że uda się złapać jakiś autostop, ale przez dwa dni marszu nie minął nas ani jeden samochód, za to te dni dostarczyły nam mnóstwa pięknych krajobrazów i spektakli tysięcy świetlików.

Gdy dotarliśmy do wioski, postanowiliśmy spróbować zakupić pieczywo, jajka oraz świeże owoce i warzywa. Zapas całego suchego i paczkowanego jedzenia na trekking zrobiliśmy jeszcze w Brazylii i uzupełniliśmy w Santa



FOT. PIOTR MALASZEWSKI



FOT. PIOTR MALASZEWSKI

MAŁY SPIDER-MAN

Żabki z gatunku *Oreophrynella quelchii* żyją tylko tutaj i jeszcze na kilku okolicznych tepui. Całe czarne, z żółtymi plamkami na brzuchu, nie potrafią skakać, za to przyklejają się do każdej płaszczyzny niczym spider-man.

Elenie. Nasze próby skończyły się jednak całkowitą klęską. Byliśmy odsyłani od domu do domu, a zamiast pomocy każdy chciał nam tylko wcisnąć swoje usługi przewodnika. Wprawdzie udało się odnaleźć sklepik, ale jedyne, co w nim było, to ryż, margaryna i piwo. Jeden z miejscowych jednak podpowiedział, że możemy zebrać mango z ogólnodostępnego drzewa. Niestety, owoce okazały się zielone i na wpół twarde (miejscowi jedzą je z solą). Na szczęście mężczyzna poprowadził nas do jednego z gospodarstw, gdzie rodzina miała

kilkadziesiąt bananowców i za 2 reale udało się kupić kilogram bananów. Na koniec bez namyślności zaproponował, że jeśli potrzebujemy przewodnika, to on może nim być. Wymarsz ustaliliśmy na poranek dnia następnego.

Roraima z dystansu wygląda na nie do zdobycia zwykłym marszem. Jednak wejście na nią jest możliwe bez żadnego specjalistycznego sprzętu, wymaga tylko sporo czasu – trzy dni wędrówki. Pierwszy dzień jest łatwy, a najtrudniejszy jego etap to sama końcówka, kiedy trzeba przekroczyć dwa łączące się ze sobą



koryta rwących rzek. Woda sięga od kolan aż do bioder. Należy to zrobić z rozpędu tego samego dnia, bo rano poziom wód po nocnej wilgoci czyni przeprawę jeszcze trudniejszą.

Drugiego dnia czeka ponad 10 km marszu, w dużej części pod górę. Zwraca uwagę las równikowy, a raczej to, że kiedyś tu był, a teraz obumiera. Składa się na to wiele przyczyn, a jedną z nich są okoliczni mieszkańcy, którzy wypalają kolejne fragmenty dżungli – nie pod uprawy, bo prawie nic nie sieją, ale by wypłoszyć zwierzynę i łatwiej ją ustrzelić.

Oprócz niej posiłkiem miejscowych są termity, których kopców jest w okolicy mnóstwo, ryby oraz chleb zwany *kasabe*, wytwarzany z juki.

Trzeci dzień, choć obejmuje tylko trzykilometrowe podejście, jest ogromnie męczący. Nachylenie terenu jest bardzo duże, cały czas idzie się przez wilgotną dżunglę, więc oddycha się trudno, organizm poci się ponad normę, a do tego ścieżka jest pokryta śliskimi kamieniami. Zwieńczenie wspinaczki to przejście pod wodospadem – kilkadziesiąt metrów stromym potokiem. Ciężki plecak nie

JACUZZI DLA WYTRWAŁYCH

Fragment Roraimy nazwany „jacuzzi”. W tych basenach można się kąpać, jednak jeśli nie jest się morsem – tylko w słoneczne dni, i to z umiarkowaną przyjemnością. Zimna, krystalicznie czysta woda swój kolor zawdzięcza połączeniu z białymi drobinami kwarcu, który leżał na dnie setki tysięcy lat.

ułatwia utrzymania równowagi. Najgorsze, co może spotkać na tym odcinku, to deszcz, a o to nietrudno. Góra jest niczym magnes dla chmur, zresztą tworzą ją same wodospady, spływające z niej i z okolicznych siostrzanych szczytów. Nawet w porze suchej (od stycznia do kwietnia) występują tutaj liczne opady. Ale nic to w porównaniu z wilgocią, jaka panuje na szczycie.

SKARBY NA PUSTKOWIU

Roraima jest cały dzień spowita chmurami. Na dobrą widoczność można liczyć tylko wczesnym rankiem oraz późnym

popołudniem. Rzadko w ciągu dnia zdarzają się okna pogodowe. Klimat jest bezlitosny. Deszcz potrafi padać kilkanaście razy w ciągu dnia. Trzydzieści kilometrów kwadratowych górskiego płaskowyżu jest miejscem wyjątkowo nieprzyjawnym dla człowieka. Zdecydowana większość terenu to pustkowie bez żadnych charakterystycznych punktów orientacyjnych. Czarne chropowate skały, po których wiatr szaleje bez ograniczeń. Wszędzie pełno kałuż, a w czasie deszczu – małych strumyków. Tutaj, na szczycie, przewodnik jest naprawdę niezbędny. Jeśli nie pada, świeci palące, ostre słońce. Temperatura w ciągu dnia waha się od 16 do 25°C, ale wilgoć i wiatr

WIĘCEJ ŻYCIA

Są miejsca, gdzie szczyt ożywa. Czarne skały zaczynają mieszać się z wysokimi trawami i krzewami. Wraz z nimi pojawiają się też ptaki. Najbardziej „żywą” częścią Roraimy jest ta położona na terytorium Gujany.



powodują, że pojawia się też przesywające zimno, zwłaszcza w nocy.

Na tym pustkowiu da się jednak odnaleźć prawdziwe skarby. Najczęściej są to punkty widokowe na okoliczne połacie terenu: kipiące soczystą zielenią wzgórza Gujany czy sąsiedni płaskowyż Kukenán, z którego spływa potężny wodospad. Ale są też skarby bardziej namacalne: jaskinie i grotty, kaniony, naturalne baseny czy obszary porośnięte wysokimi krzakami i pokracznymi drzewami, a także malutkie czarne żaby o żółtych brzuchach – *Oreophrynella quelchii*, które nie potrafią skakać. Są też owadożerne rośliny, wielkie robaki wodne i mnóstwo ptaków. Aby chronić ten unikalny

ekosystem, zakazano pozostawiania po sobie jakichkolwiek śladów pobytu (regulamin porządnego turysty obejmuje również zniesienie na dół własnych odchodów). Góra jest pozbawiona gleby i zwierząt, więc nie byłaby w stanie samodzielnie ich przetworzyć, a woda stąd spływająca dostarcza życie do ogromnych obszarów. Przy powrocie do Paraitepuy często są dokonywane kontrole i ważenie śmieci. Jeśli jest ich mniej, niż przewiduje norma, trzeba zapłacić karę. Mimo tego wciąż wielu łamie ten zakaz, nie szanując natury. Przez takich ludzi kilka tygodni po naszym wyjeździe górę zamknięto dla odwiedzających i urzędowo pierwsze w historii generalne sprzątnięcie

ZNAJ GRANICE

W tym miejscu, na szczycie, spotykają się granice: Brazylii, Wenezueli i Gujany. Biały kamień na pustkowiu czarnych skał wygląda jak element scenografii do filmu Stanleya Kubricka. Ciekawe, z czyjej inicjatywy postawiono słup, bowiem Wenezuela nie uznaje części linii granicznej z Gujaną.



Roraimy. Wszystkie operujące tutaj agencje turystyczne musiały przysłać pracowników do pomocy.

Obecny kryzys w Wenezueli sprawia, że na płaskowyż dociera dziś nikły procent odwiedzających w stosunku do stanu sprzed kilku jeszcze lat. Jeśli ktoś zdecyduje się zrobić trekking na własną rękę – bez pośrednictwa agencji, które na ogół tworzą większe grupy – może nie spotkać nikogo przez cały czas pobytu na szczycie. Tak jak i my – przez cztery dni tylko z przewodnikiem. ○

Piotr Miklaszewski

Kiedyś dziennikarz opisujący nowe akty prawne i rozprawy sądowe. Dwa lata temu porzucił „normalne” życie. Wraz z żoną i psem ruszył w podróż z plecakiem dookoła świata. Obecnie twórca bloga Podróże z Pazurem.

GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

HARPAGAN-57 W MIASTKU



Ekstremalny Rajd na Orientację Harpagan to największa impreza na orientację w Polsce. Dwa razy w roku, wiosną i jesienią, gromadzi ponad 1200 uczestników, a jej baza jest zawsze zlokalizowana w województwie pomorskim. Najbliższy Harpagan odbędzie się w Miastku w dniach 12–14 kwietnia. Będzie to pierwsza edycja rajdu w tym miejscu – szykują się wyjątkowe trasy i niezapomniane widoki. Do wyboru organizatorzy oddają aż 10 tras, w tym jedną zupełnie nową. Po raz pierwszy jest przygotowywana nocna trasa piesza 50 km (TP50N). Oprócz tego tradycyjnie: trasy piesze 100 km, dzieńna 50 km, 25 km, 10 km (rodzinny Harpuś), trasy rowerowe 200 km, 100 km, 50 km, 20 km (rodzinny Harpuś), trasa mieszana 150 km (50 km pieszo + 100 km rowerem).

Wybór Miastka na miejsce bazy jest nieprzypadkowy, bo dostępność lasów daje uczestnikom szansę przeżycia wyjątkowej przygody. Liczby mówią same za siebie – lesistość w tym regionie wynosi niemal 50 proc. Orientacja jest świetnym sposobem na spędzenie



FOT. WWW.HARPAGAN.PL

wolnego czasu z rodziną czy przyjaciółmi, bowiem łączy aktywność fizyczną i umysłową, w pięknych okolicznościach przyrody. Każdy znajdzie trasę dla siebie.

www.harpagan.pl/rajd
www.facebook.com/harpagan



ŚWIATOPOGLĄD



Festiwal Kultury Podróży Światopogląd to wydarzenie przedstawiające nie tylko historie podróżników, ale także obcokrajowców mieszkających w Polsce. Celem spotkań jest propagowanie świadomego podróżowania w oparciu o tolerancję międzykulturową. Festiwal kompleksowo przybliży trzy wybrane kraje, a jego pierwsza edycja zostanie poświęcona Indiom, Meksykowi i Ukrainie. Światopogląd łączy przegląd relacji podróżników odwiedzających konkretne miejsca z zupełnie inną perspektywą – historiami cudzoziemców z tych regionów, obecnie przebywających w Polsce. Ta formuła relatywizuje przekazywane przez podróżników informacje i umożliwia zdobycie wiedzy z pierwszej ręki. Daje tym samym szerokie pole do dyskusji o różnych światopoglądach oraz pozwala przełamywać granice i stereotypy. Festiwal odbędzie się w dniach 29–30 marca w Centrum Kultury Dwór Artusa w Toruniu.



RÓWNOLEŻNIK ZERO

W dniach 4-6 kwietnia br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu odbędzie się kolejna edycja Wrocławskiego Festiwalu Podróżniczego im. Olgierda Budrewicza Równoleżnik Zero. Tym razem organizatorzy zabiorą uczestników na wyprawę po Azji. Prelegenci chcą pokazać, że to nie tylko jazda skuterem, joga, jedzenie pałeczkami czy złe relacje z psem i kotem. Trzy dni festiwalowe będą wypełnione opowieściami, filmami, zdjęciami i wspomnieniami, gdzie nie zawsze cel podróży jest najistotniejszy, często ważna jest droga do niego prowadząca. rownoleznikzero.pl



GRUZJA DLA NIEZDECYDOWANYCH

„Gruzja dla niezdecydowanych” Artura Zygmunowicza to barwny obraz tego kraju oparty na osobistych spostrzeżeniach i doświadczeniach. Część pierwsza, zatytułowana „Gruzja słodka”, to opis państwa gościnnego, radosnego, kolorowego, ze wspianą kuchnią i tradycjami. Autor przedstawia znane miejsca i ważne zabytki kraju, ale nie jest to schematyczny opis, tylko osobiste spojrzenie, uwzględniające elementy, których nie znajdziemy w przewodniku. Sporą część książki stanowi zachwyt nad miejscową kuchnią. Druga część, „Gruzja słodko-gorzka”, to rysunek nieco mniej pozytywny, z którego wyłania się państwo pełne problemów, zranione i chwilami rozdzierająco smutne, choć nadal inspirujące i barwne. To książka, dzięki której podróż do tego niezwykłego kraju może okazać się zdecydowanie łatwiejsza, przyjemniejsza i bogatsza. Wydawnictwo Stapis.



DZIEŃ ZIEMI 2019

Wydział Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej wspólnie z Wydziałem Artystycznym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie w dniu 26 kwietnia po raz 12. organizuje obchody Dnia Ziemi oraz Dnia Geografa. Głównym celem wydarzenia jest promowanie podejścia ekologicznego oraz budowanie postawy wspólnej odpowiedzialności za Ziemię. W 2019 r. organizatorzy, w nawiązaniu do głównych idei i celów światowego Dnia Ziemi, szczególną uwagę chcieliby poświęcić zagrożonym gatunkom roślin i zwierząt oraz ich siedlisk, ale także społecznościom ludzkim, których byt we współczesnym świecie jest zagrożony. Ważnym celem organizowanej imprezy jest edukacja społeczna, zmierzająca do uświadomienia wartości tkwiącej w różnorodności przyrodniczej świata oraz konsekwencji wynikających z ekspansywnego wykorzystywania jego zasobów oraz kształtowanie, szczególnie u dzieci i młodzieży, postawy odpowiedzialności za losy przyrody i człowieka na Ziemi.

W dniu obchodów Dnia Ziemi po raz kolejny pracownicy oraz studenci UMCS w Lublinie zaproponują szeroką ofertę wykładów, warsztatów, zajęć terenowych, wystaw oraz konkursów. www.dzienziemi.umcs.pl



NIRWANA

30 marca br. o godz. 17.00 odbędzie się wernisaż wystawy fotografii Krystiana Durmana „Nirwana”, organizowanej w ramach projektu „Himalaje. Dopisz swoją historię”. Instalacja to zapis wspomnień aktora z jesiennej wyprawy w Himalaje. To również zapowiedź kontekstowych działań do nowej premiery „Nic” Krzysztofa Garbaczewskiego



w Starym Teatrze. Wystawie będzie towarzyszyć interaktywna instalacja utkana z buddyjskich flag, na których każdy będzie mógł zapisać swoje życzenia, marzenia czy intencje oraz dopisać swoją historię. Praktyka rozwieszania chorągiewek w Tybecie oraz Nepalu jest formą komunikowania się z energiami pięciu żywiołów.

Wystawę można obejrzeć od 30 marca do 14 kwietnia br. w Narodowym Starym Teatrze przy ul. Jagiellońskiej 1 w Krakowie.

AUTO STOP RACE

11. edycja Auto Stop Race to wyczekiwana przez studentów z całej Polski majówka. Tysiąc miejsc dla uczestników rozszło się w zaledwie 57 sekund – impreza cieszy się niesłabnącą popularnością, a organizatorzy z roku na rok stawiają sobie poprzeczkę coraz wyżej. Celem jest zarażenie tysiąca osób ideą budżetowego podróżowania, dzięki któremu młodzi ludzie z małym wkładem finansowym mogą zobaczyć dużą część świata.

Uczestnicy ścigają się, wyłącznie autostopem, do wyznaczonego przez organizatorów miejsca, a nagrodą za trudy przebytej podróży są atrakcje przewidziane na mecie. W poprzednich latach autostopowicze ścigali się m.in. do Barcelony, greckiego Półwyspu Chalcydyckiego, chorwackiej Fazany oraz gorącego regionu południowych Włoch – Kalabrii.



W tym roku miejscem docelowym będzie oddalona o 2 tys. km grecka wyspa Evia. Uczestnicy mogą dzielić się przeżyciami za pomocą wiadomości SMS, które są widoczne dla wszystkich na stronie internetowej www.autostoprace.pl.

Autostopowicze wyruszą w wyścig 27 kwietnia z kampusu Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu.



I KOCIEWSKIE FOTO-TERMEDYJE

To plener fotograficzny, na którym przez cztery dni uczestnicy będą zwiedzać Kociewie i uwieczniać na zdjęciach jego piękno. Odwiedzą kociewskie miasta, zamki, grodziska, wsie oraz lasy i jeziora. Celem jest pokazanie fotografom z całej Polski uroków regionu. Na pewno każdy znajdzie tu coś dla siebie. Fotograficzna przygoda z Kociewiem zakończy się konkursem, w którym będą mogli wziąć udział wszyscy uczestnicy spotkania. Zgłoszenie jednego ze zdjęć wykonanych w trakcie pleneru to szansa na wygraną wspaniałych nagród, których łączna pula wynosi aż 15 tys. zł.

180 DNI NA PACIFIC CREST TRAIL

FeeLife to projekt tworzony przez parę, dla której nie ma rzeczy niemożliwych. Tym razem Karolina Habrat i Bartłomiej Pietruszka wyruszą na jeden z najdłuższych szlaków na świecie, aby przez 180 dni sprostać pustynnym, górzystym oraz leśnym etapom szlaku Pacific Crest Trail. Wędrując od granicy z Meksykiem po samą Kanadę, pokonają najtrudniejsze tereny Kalifornii, Oregonu i Waszyngtonu. Będzie to półroczne wyzwanie oraz doskonały sprawdzian siły zarówno psychicznej, jak i fizycznej. Trasa wiedzie przez pustynię Kolorado, siedem parków narodowych, liczne pasma górskie, rwące rzeki oraz góry lodowe, m.in. Sierra Nevada (4421 m n.p.m) i Góry Kaskadowe. Długość szlaku to 4265 km, suma wzniesień – prawie 100 tys. m. Wyprawa wyrusza 8 kwietnia br.

www.facebook.com/feelife.journey | www.instagram.com/feelife.journey
www.feelife.pl



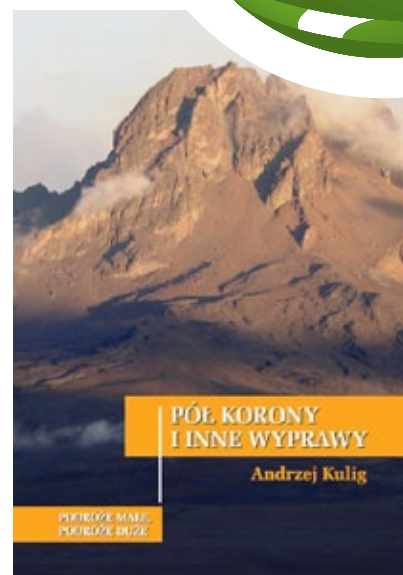
PÓŁ KORONY I INNE WYPRAWY

Książka zawiera reportaże (zilustrowane ponad 430 kolorowymi zdjęciami i 29 mapami) z 14 wypraw wysokogórskich oraz w stosunkowo mało znane zakątki świata. Autora podczas podróży interesują zwłaszcza elementy przyrodnicze. Wyprawa ku szczytom górskim to często doskonała okazja do podglądania w niższych partiach bujnej przyrody, a następnie wędrowania po zboczach wulkanów, wysokogórskich pustyniach i cofających się lodowcach.

Te cuda przyrody zawiodły Andrzeja Kuliga na: tanzańskie Kilimandżaro, argentyńską Aconcaguę, ugandyjską Margheritę, francuski Mont Blanc, marokański Toubkal,

rosyjski Elbrus, australijską Górę Kościuszki, turecki Ararat, irański Demawend, w górskie łańcuchy gruzińskiego Kaukazu, kanadyjskich Gór Skalistych, a także do Ugandy (góry Ruwenzori) i Rwandy, Peru, Maroka (Sahara i Atlas), Patagonii, Nowej Zelandii i Australii oraz na niezwykłą Islandię.

Książka nie jest przewodnikiem, ale warto w niej trochę informacji praktycznych, które mogą być pomocne w przygotowaniu własnych podróży. Chodziło głównie o osobisty opis wędrówek, który powinien zachęcać do podejmowania podobnych „wysokopiennych” wypraw i eksploracji niezwykłych miejsc. Oficyna Wydawnicza PW.



ŚLADAMI ALEKSANDRA CZEKANOWSKIEGO



Na pytanie o wielkie rzeki Syberii większość z pewnością wymieni Lenę czy Jenisej. Między nimi znajdziemy na mapie rzekę o wdzięcznej nazwie Oleniok, która mimo że nie jest aż tak olbrzymia jak wcześniej wymienione, to i tak jest ponad dwa razy dłuższa od Wisły. Bez wątpienia największy udział w jej eksploracji miał nasz rodak – Aleksander Czekanowski, który po powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię. Prze-

prowadził tam kilka wypraw, z których najbardziej znaczącą było spłynięcie rzeką Oleniok w 1874 r. Łącznie z etapami lądowymi ekspedycja trwała ponad rok.

Oleniok liczy 2292 km w azjatyckiej części Rosji i płynie głównie w Jakucji. Swe źródła ma na Wyżynie Środkowosyberyjskiej, na północnych obrzeżach Płaskowyżu Wilujskiego w Kraju Krasnojarskim. W dolnym biegu przepływa przez wschodnią część Niziny Północnosyberyjskiej. Uchodzi do Zatoki Oleniockiej na Morzu Łaptiewów (część Oceanu Arktycznego), tworząc deltę (475 km²). Przy rzece znajdują się dwie niewielkie miejscowości i żyje tam niecałe 4 tys. osób. Wpływ na to ma klimat – zima trwa co

najmniej 8 miesięcy, a temperatura -50°C jest uważana za rzecz normalną.

Pomysł spłynięcia rzeką Oleniok wyszedł od Damiana Wojciechowskiego TJ – misjonarza z Kirgistanu, który wiele lat mieszkał na Syberii. Zawiązała się grupa kajakarzy, od 2017 r. sukcesywnie przygotowująca wyprawę śladami Aleksandra Czekanowskiego Oleniok 2019.

Plan jest taki, aby dopłynąć nie tylko do samego ujścia rzeki, ale kontynuować płynięcie brzegiem Morza Łaptiewów do delty Leny (porównywalnej tylko z deltą Amazonki) i dalej Leną pod prąd do wyspy Tit-Ary, tak żeby zdążyć na ostatni statek płynący z Tiksi do Jakucka. Jak dotąd nie ma informacji, aby ktoś kiedykolwiek przepłynął taką właśnie trasę, w tym również kajakiem. Cała odległość na kajakach to 2370 km (Alakit–Oleniok–Morze Łaptiewów–Lena). Członkowie wyprawy zakładają, że samo płynięcie zajmie ok. 50–60 dni. Cały projekt powinien zająć do 3 miesięcy.

www oleniok.wioslo.pl



POZNAJ ŚWIAT ZE SKAT!

To otwarty ogólnopolski konkurs fotografii podróżniczej dla pełnoletnich amatorów i profesjonalistów. Uczestnicy zgłaszają zdjęcia poprzez aplikację umieszczoną na stronie konkursu. Na zdjęcia głosują internauci, a następnie fotografie, które przeszły do finału, są oceniane przez jury. Nagrodą jest rejs promem dla dwojga do Skandynawii, ufundowany przez polskiego operatora promowego Unity Line. www.poznajswiatzeskat.pl

POZNAJ ŚWIAT ZE
SKAT
KONKURS FOTOGRAFII PODRÓŻNICZEJ



Marek Barowicz

SKARBY LIPNICY MUROWANEJ

Wokół figury św. Szymona z Lipnicy w Niedzielę Palmową na lipnickim rynku jest organizowany słynny konkurs na najwyższą palmę wielkanocną. Święty, żyjący tu w XV w., był jednym z pierwszych bernardynów, a jego relikwie znajdują się w kościele na krakowskim Stradomiu. Lipnica Murowana, zabytkowa małopolska wieś, leży nad potokiem Uszwica, w otoczeniu wzniesień Pogórza Wiśnickiego i Beskidu Wyspowego.



Znane w całej Polsce lipnickie palmy są wykonywane z wiklinowych witek, dla których rdzeniem jest świerkowa tyczka. Są ozdobione bukszpanem, suszonymi kwiatami, bibułą i wstążkami. Osiągają wysokość ponad 30 m. Jak głosi legenda: „palma powinna mieć tyle metrów, ile morgów liczy gospodarstwo”.

Według regulaminu konkursowego dolna część palmy – do wysokości metra – powinna zawierać się w uchwycie dłoni twórcy, jej zaś



wiązanie – na całej długości – powinno być wykonane z pędów wierzby i bez użycia drutu, sznurka czy gwoździ. Ponadto palma musi być ustawiona pionowo, i to ręcznie – jedynie siłą ludzkich mięśni, z wykorzystaniem lin oraz stabilizujących tyczek. Bez użycia dźwigów lub podnośników.

Ten ludowy zwyczaj, obok znaczenia liturgicznego, niesie także sens magiczny. Poświęcone palmy mają bowiem zapewnić ich wykonawcom, gospodarzom, urodzaj w polach



oraz inwentarzu żywym. A wykonane z takich palm krzyże, zatknięte w polu lub zawieszone nad drzwiami domostw, ochraniają mieszkańców wsi przed złymi mocami.

NA POCZĄTKU BYŁ KOŚCIÓŁ

Pierwsza wzmianka o Lipnicy Murowanej pochodzi z 1144 r., kiedy to erygowano parafię św. Leonarda, z drewnianym kościołem, wzniesionym – jak głosi legenda – na miejscu

„świętego gaju” otaczającego praslaviański świątyni. Pozostał jeszcze po nim ciosowy słup dębowy. Wspiera on dziś konstrukcję ołtarza głównego modrzewiowej świątyni św. Leonarda, wpisanej w 2003 r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Jest ona jednym z najstarszych (co najmniej z XV w.) i najcenniejszych w Polsce gotyckich kościołów drewnianych.

Św. Leonard ma konstrukcję zrębową, sygnaturkę na kalenicy i jest kryty gontem. W XVI w. dobudowano niskie, zewnętrzne



ZABYTEK Z SOBOTAMI

Parafię św. Leonarda w Lipnicy Murowanej erygowano już w 1144 r. Jej kościół należy do najstarszych i najlepiej zachowanych gotyckich świątyń drewnianych w Polsce. Okalające go podcienia pod jednospadowym dachem są nazywane sobotami.

podcienia, wsparte na drewnianych kolumnach i nakryte jednospadowym dachem – soboty. Etymologia tej nazwy wiąże się z dawnym zwyczajem parafian, którzy w celu uczestnictwa w niedzielnym nabożeństwie musieli niejednokrotnie pokonywać duże odległości i przybywali dzień wcześniej. Zbierali się więc wokół kościoła już w sobotę, gdzie pod osłoną dachu chroniącego ich przed niepogodą oczekiwali na poranną mszę.

W myśl staropolskiego kanonu lipnicki obiekt sakralny ma okna jedynie po stronie południowej, natomiast drzwi wejściowe od zachodu i południa. Ciekawostką jest, że świątynia została wykonana bez użycia gwoździ; wszystkie jej połączenia spojono z wykorzystaniem drewnianych kołków ciesielskich.

Wnętrze kościoła zawiera pojedynczą, kwadratową nawę i nieduże, trójbocznie zamknięte prezbiterium. Świątynne ściany

i stropy z zaskrzynieniami w nawie zostały udekorowane polichromią wykonywaną sukcesywnie na przestrzeni poszczególnych okresów, poczynając od XV w. Ozdobne malowidła stanowiły w dawnych czasach tzw. Biblię ubogich, która w sposób graficzny prezentowała prostej, nieumiejącej czytać ludności wiejskiej poszczególne wydarzenia ewangeliczne. Ciekawe malowidło z personifikacją śmierci zostało umieszczone pod kościelnym chórem – wyobraża ono postać kobiety i kostuchy przygryzającej jej na skrzypcach. Obok widnieje ostrzeżenie: „Pamiętaj na szmierz”.

Cennego wyposażenia kościoła dopełnia znajdujący się na chórze, czynny do dziś XVII-wieczny przenośny, skrzynkowy instrument organowy, tzw. pozytyw szkatulny, a także feretron procesyjny z płaskorzeźbą Trójcy Świętej.



ŚWIĘTOWIT U ŚW. LEONARDA

Słup pogańskiego bożka urodzaju Świętowita ze stojącego tu niegdyś przedrześcijańskiego chramu. Ma wysokość 4,5 m oraz oryginalną, wyżłobioną rozetę. Dziś podtrzymuje ołtarz główny w kościele św. Leonarda.



ŚWIĘCI Z LIPNICY

Na uwagę zasługuje również usytuowany na skraju dawnego miasta kościół parafialny z XIV w. pw. św. Andrzeja Apostoła, którego budowa została sfinansowana przez króla Kazimierza Wielkiego. Najcenniejszym zabytkiem tej świątyni jest znajdująca się w południowej kaplicy, pochodząca z 1370 r., gotycka figura Matki Bożej z Dzieciątkiem, zwana Madonną Lipnicką. W pobliżu kościoła zostały umieszczone figury trojga lipnickich świętych: Urszuli i Marii Ledóchowskich oraz Szymona, zwanego Lipnickim.

Bł. Maria Ledóchowska to misjonarka zajmująca się Afryką, założycielka Stowarzyszenia Misyjnego Sodalicii św. Piotra Klawera; z kolei jej siostra, św. Urszula Ledóchowska była założycielką zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego, zwanych potocznie urszulankami szarymi.

Ciało św. Urszuli, w nadzwyczajny sposób zachowujące się od zniszczenia, zostało w 1989 r. przywiezione z Rzymu do Pniew koło Poznania i złożone w specjalnym sarkofagu w kaplicy tamtejszego zgromadzenia ss. urszulanek.

Ojciec obu sióstr, hrabia Antoni Halka-Ledóchowski w drugiej połowie XIX w. nabył majątek Lipnicę Dolną w pobliżu Lipnicy Murowanej. Należał on potem do tej rodziny przez 62 lata. W części centralnej kościoła św. Andrzeja Apostoła, pod kamienną płytą grobową, znajduje się krypta z trumnami Antoniego i jego żony Józefiny.

O rozwoju życia religijnego na tym terenie świadczą także pustelnie, założone na przełomie IX i X w. przez eremitów: św. Justa (na miejscu, gdzie miał swoją pustelnię, wznosi się drewniany kościół z XVII w.), św. Świerada (nauczyciela

TRYPTYK PO PRZEJŚCIACH

Oryginalny tryptyk św. Leonarda (przełom XV i XVI w.) z kościoła w Lipnicy Murowanej. Od setek lat aż do 1992 r., czyli momentu jego kradzieży, znajdował się w tej świątyni. Po odebraniu złodziejom trafił do tarnowskiego Muzeum Diecezjalnego, w kościele zaś zainstalowano kopię.



FOT. MAREK BAROWICZ

ŚWIĘTE ZGROMADZENIE

Pomnik przy kościele św. Andrzeja (zdjęcie obok), zwany „Świętym Zgromadzeniem”, przedstawia: św. Urszulę Ledóchowską, św. Szymona z Lipnicy oraz bł. Marię Teresę Ledóchowską.



FOT. MAREK BAROWICZ

św. Benedykta) i św. Urbana (towarzysza lub ucznia św. Świerada, utożsamianego czasem ze św. Benedyktem).

MIASTO KRÓLEWSKIE

Na początku XIV w. osada uzyskała od króla Władysława Łokietka przywilej lokacyjny na obszarze 100 łanów frankońskich (1 łan odpowiadał 23–27 ha), w oparciu o tzw. prawo średzkie, stanowiące odmianę prawa magdeburskiego. Od tego momentu Lipnica stała się miastem królewskim. Zarządzał nim, piastujący ten urząd dziedzicznie, wójt, który powoływał dożywotnich ławników (z czasem wybieranych przez rajców miejskich) i wraz z nimi sprawował w ratuszu sądownictwo. Za utrzymanie w mieście porządku odpowiadali pachołkowie, którymi kierował rotmistrz. Rynek był placem targowym, na którym odbywały się,



trwające po kilka lub kilkanaście dni, targi i jarmarki, napędzające handel i determinujące rozwój różnego rodzaju rzemiosła.

Lipnicka królewszczyzna oddawana była potem przez kolejnych władców w dzierżawę zasłużonym możnowładcom, np. Wierzbicie z Branic herbu Gryf czy Piotrowi Kmicie herbu Szreniawa; dzierżawcami Lipnicy byli też członkowie takich rodów, jak: Lubomirscy, Wielopolscy czy Ossolińscy. Od końca XVII w. starostowie gospodarujący w Lipnicy rezydowali w tzw. pańskim domu, czyli zlokalizowanej w zachodnim narożu rynku kamienicy starościńskiej.

Słynna z palm wielkanocnych Lipnica Murowana znajduje się na małopolskim Szlaku Architektury Drewnianej. Jest przykładem charakterystycznej, średniowiecznej zabudowy miejskiej o układzie owalnicowym (55 × 60 m), pełniącej funkcje targowe. Tworzą ją pochodzące z XVIII–XIX w., drewniane (choć niektóre częściowo murowane), parterowe

domy podcieniowe o konstrukcji zrębowej kryte dachami naczółkowymi, wspartymi na słupach, których szczyty są zwrócone w stronę rynku. Wokół miasta pozostały jeszcze relikty murów obronnych fundacji króla Kazimierza Wielkiego.

Lipnica Murowana to nie tylko zabytkowa zabudowa miejska oraz cenne kościoły, pamiętające czasy średniowiecza. Warto np. odwiedzić budynek Izby Regionalnej z XIX w., w której są prezentowane dokumenty i eksponaty związane z historią, kulturą i tradycjami miasteczka.

Corocznie, w rocznicę śmierci św. Szymona (18 lipca 1482 r.), w Lipnicy Murowanej odbywa się odpust, w trakcie którego jest rozdawane pieczywo – bułeczki Szymona. Święty, którego rodzice byli piekarzami, sam również rozdawał ubogim pieczywo. Odpust wieńczy pielgrzymkowy wyjazd lipnickich parafian do grobu swego patrona w Krakowie. ○

KAMIEŃ NAPOLEOŃCZYKA

Ostańce zwane Kamieniami Brodzińskiego na pograniczu Lipnicy Górnej i Rajbrotu. Kazimierz Brodziński – poeta, tłumacz i krytyk, żołnierz napoleoński – edukację rozpoczął w gminnej szkole elementarnej w Lipnicy Murowanej.



Marek Barowicz

Z wykształcenia doktor nauk ekonomicznych, jego zainteresowania to podróże i fotografia.



NA WŁASNE OCZY

**CZYLI DLACZEGO PODRÓŻNICZY BESTSELLER
WSZECH CZASÓW DZIŚ PRZESZEDŁBY BEZ ECHA**

FOT. SHUTTERSTOCK

Jedna z najlepiej sprzedających się książek w historii to „Prostaczkowie za granicą” Marka Twaina. Dowcipne zapiski z rejsu statkiem po Europie, w który autor wyruszył w II połowie XIX w., przyniosły mu najwięcej zysków w całym jego dorobku, pokonując nawet „Przygody Tomka Sawyera”. We wstępie Twain napisał, że chciał, aby czytelnik mógł zobaczyć wszystkie opisane miejsca „jakby na własne oczy”. Dziś takie stwierdzenie nie tylko nie byłoby oryginalne, ale wręcz trąciłoby banałem, a przecież mówimy o ulubionym pisarzu Ameryki. No cóż, musimy wziąć poprawkę na czasy, w których żył.

WXIX w. podróże dopiero stawały się dostępne – ale wciąż tylko dla najzamożniejszych. Cała reszta, chcąc dowiedzieć się czegoś o świecie, musiała polegać na cudzych słowach. Nieliczni szczęśliwcy, którzy bywali w świecie, przez sam fakt odbycia choćby jednej podróży stawali się ekspertami i jedynym źródłem informacji. Ich opowieści kształtowały wyobrażenia pozostałych na temat innych krajów, kultur i cudzoziemców. Nikt nie wnikał, ile było w tych relacjach prawdy – bo i jak to sprawdzić? Dlatego w tamtych czasach powstało tyle samo rzeczowych publikacji, co legend i barwnych historyjek. (Nie oskarżam tutaj Twaina. Jemu wierzę na słowo, a gdyby

nawet minął się z prawdą, wybaczyłabym mu wszystko).

Jeszcze do niedawna większość ludzkości musiała polegać na paru wybrańcach, którzy z ważną miną donosili, jak wygląda reszta świata. Nie jestem przecież taka stara, a pamiętam z własnego dzieciństwa potężne wrażenie, jakie wywierał ktoś, kto wrócił z zagranicy. Choćby był to najzwyczajniejszy wujek, który pojechał na saksy do Norwegii. Jego opowieści, wzmocnione prezentami ze sklepu z zabawkami i długimi listkami gumy w kulcach, elektryzowały egzotykę. Norwegia, o której mówił, zdawała się niesamowita, fascynująca i sto razy lepsza od Polski. Wuj zaś był odkrywcą, przedsiębiorczym obywatelom świata, rodzinnym bohaterem,

o którym opowiadało się w przedszkolu, pokazując przywiezione przez niego trofea. Każdy, kto miał w rodzinie kogoś, kto gdzieś był, chodził dumny jak paw. Ciotka z Kanady, stryj z RFN-u czy ojciec – marynarz pływający na statkach – to były lokalne osobistości. I dobrodziej, przysyłający paczki z najróżniejszymi dobrami, które odpakowywało się całą rodziną, z fascynacją oglądając tropikalne owoce albo tajemnicze puszkę. Najwięksi szczęśliwcy mieli w domu emigranta, który wyjechał na stałe i mógł zaprosić rodzinę w gości, do jakiegoś szalonego atrakcyjnego kraju – do Stanów, Szwecji albo Włoch, czyli w miejsca, na które normalnych ludzi nie było stać (w każdym razie tak nam się wtedy wydawało). Niestety, ja i mój starszy

brat nikogo takiego nie mieliśmy, czego przez całe dzieciństwo żałowaliśmy.

Później worek z podróżami zaczął się trochę rozwiązywać. Nadeszły czasy pierwszych autokarowych wyjazdów po Europie. W naszej rodzinie był rytuał: kto wracał z takiej podróży, rozkładał mapę i zdjęcia, rozdawał domownikom drobne pamiątki i opowiadał, stając się gwiazdą wieczoru. Dalszym krewnym wysyłało się natomiast pocztówki. Ileż z tym było zachodu! Najpierw należało kupić kartki, potem dostać gdzieś znaczki, nakreślić kilka błyskotliwych zdań i jeszcze poszukać skrzynki na listy. Ten trud był jak misja, którą podejmowało się z satysfakcją, by oświecić nieszczęśników pozostałych w domu.

Dziś nikomu nie chce się wysyłać pocztówek i nikomu nie chce się ich dostawać – nie w czasach mody na minimalizm. Próba pokazania innym swoich zdjęć na rodzinnym spotkaniu budzi co najwyżej dyskretne ziewnięcia. Przecież wszystko jest na Facebooku, kto miał polubić, polubił, nie ma co zabierać ludziom cennego czasu. Podobnie jest z przywożeniem pamiątek. Na co komu pamiątka z cudzej podróży? Bez sensu, dziś każdy ma własne wyjazdy, które chce wspominać. Dobrem deficytowym nie jest już ciekawa relacja z dalekich miejsc, ale cudza uwaga. Z jednej strony to wspaniałe. Nie musimy już być zdani na innych, wzdychać i snuć niespełnionych marzeń o podróżach. Możemy podziwiać świat na własne oczy, a nie tylko palcem po mapie. Z drugiej – czy dziś, w natłoku podróżniczych książek, programów, kanałów na YouTube i trzeszczącego od zdjęć Instagrama, te oczy faktycznie są nasze własne?

Coraz częściej przyłapuję się na tym, że nie. Kiedy gdzieś jadę, spodziewam się zastać tam to, co już gdzieś widziałam albo o czym czytałam. Umysł codziennie karmiony obrazami domaga się tego, co już poznał. Jadę z gotowym wyobrażeniem i kiedy go nie zastaję, czuję rozczarowanie. Ledwie zaczynam spacer po mieście czy szlaku, wyciągam telefon i zaczynam kadrować. Odruchowo szukam ciekawych ujęć, nietuzinkowego spojrzenia na to, co mnie otacza. Nawet w nudnawej scenerii umiem znaleźć coś interesującego – coś, co mogłoby zaskoczyć, spodobać się (innym). Wyłapuję interesujące detale i niemal od ręki koryguję zdjęcia, eksperymentując z filtrami. Przez cały czas

podświadomie skanuję otoczenie pod kątem Instagrama. Poruszam się pośród dekoracji, nie zastanawiając się głębiej, o czym jest ta sztuka. Coraz częściej nie pamiętam, gdzie dokładnie byłam. Nazwy ulic i miejscowości zlewają mi się w jedno. I to mają być te moje własne oczy?

Cała branża turystyczna bierze udział w spisku. Zaczyna się od katalogów kreujących potrzebę zobaczenia tego, za co się zapłaciło (gdybyśmy byli tak otwarci na świat, jak twierdzimy, nie zwracalibyśmy uwagi na zdjęcia przy ofercie). Kończy się na charakterystycznych lokalnych strojach i wystrojach (jak z pocztówki) oraz masowo produkowanych pamiątkach – dokładnie takich, jakie spodziewamy się

znaleźć w danym miejscu. Czy to, co widzimy, to nasze własne spojrzenie na świat? A może hologram, który stworzył dla nas ktoś inny? Widocznie Mark Twain znów okazał się sprytniejszy, niż przypuszczałam. Idę czytać dalej, dam oczom odpocząć. ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



TREKKING ZAMIAST OBCASÓW

Iwona Postoła



Zobaczyć Himalaje – czy o tym marzą kobiety po sześćdziesiątce? I to takie, które nigdy w życiu nie spały w śpiworze? Ja zapragnęłam tego tak bardzo, że gdy znalazłam informację o trekkingu w Nepalu, bez wahania podjęłam decyzję: Jadę!

Leciałam sama do nieznanego, dalekiego kraju. Nie czułam niepokoju. Byłam szczęśliwa i spokojna, chociaż wszystko, co mnie czekało, było zupełną nowością. Gdy samolot zbliżał się do Katmandu, poczułam radość i dziwne wzruszenie, jakbym wracała do domu. W sali przylotów sprawnie załatwiłam formalności z wizą. Byłam w Nepalu. Mój bagaż niestety nie. Tam był przecież ekwipunek na trekking! Jeśli nie doleci następnego dnia, trzeba będzie wszystko kupić. Byłam zła, ale nie wpadłam w panikę.

KATMANDU NA SOLNYM SZLAKU

Katmandu to miasto bardzo stare i zniszczone. Oczarowało mnie. W kolorowej dzielnicy Tamel zatrzymują się wszyscy podróżnicy cie-

Czułam się swobodnie i bezpiecznie, wędrując ciasnymi i niewiarygodnie zatłoczonymi uliczkami. Nie było jezdni i chodnika, po prostu droga, po której poruszają się samochody, riksze, motocykle, rowery i piesi. Nepalczycy są spokojni, wyrozumiali. Kierowcy nie wściekają się na pieszych i cierpliwie omijają psy leżące na środku drogi.

Wzruszała mnie świadomość, że to miasto jest takie stare – spacerując ulicami, którymi przed wiekami biegł Szlak Solny z Tybetu w żyzne doliny. Zachwyciły mnie pałace i świątynie na Durbar Square. Architektura tak bardzo różna od europejskiej.

Mój bagaż doleciał. Nie miałam puchowej kurtki i nie kupiłam, chociaż przewodniczka namawiała. Przecież ma być „wiosna w Himalajach i kwitnące rododendrony”. Myślałam, że wystarczy to, co mam. Dwa dni później ruszyliśmy w góry. Dziewięć osób w starym jeepie. Było ciasno, ale wesoło. Poczułam strach, gdy wjechaliśmy wysoko, na szutrową drogę wijącą się nad przepaściami. W końcu oswoiłam się z sytuacją i obserwowałam góry, wioski, ludzi. Mijaliśmy skromne domostwa, dzieci w mundurkach idące do szkoły, maluchy bawiące się przy drodze. Wszędzie kozy i kury. Życie proste, zgodne z naturą. Jechaliśmy do Parku Narodowego Langtang, do Syapru, gdzie zaczynał się trekking.

PIERWSZY RAZ W ŚPIWORZE

Nigdy tak nie wędrowałam. Nigdy nie spałam w schroniskach. To miało być nowe doświadczenie. Ostatnią noc przed trekkingiem spędziliśmy w wiejskim hoteliku, jeszcze z pościelą i łazienką. Rano piękna pogoda, słońce, zieleń i śpiew ptaków zachęcały do wędrowki. Było ciepło. Szliśmy wzdłuż malowniczego potoku, który z hukiem toczył się po wielkich, jasnych głazach. Po czterech godzinach wędrowki odpoczynek i lunch w mijanej wiosce. Potem kolejne cztery godziny wędrowki i dotarliśmy do miejsca noclegu. Tak wyglądały dni na trekkingu. W każdym hoteliku jest duża sala, taka świetlica z jadalnią. Na środku stoi piec koza, w którym buzuje ogień, na nim wielki czajnik z wrzątkiem. Pali się nawozem krów i jaków. Wzdłuż ścian stoją ławy przykryte narzutami i poduszkami. W wyżej



LANGTANG LIRUNG

Autorka na tle góry Langtang. Z prawej lodowiec Langtang Lirung.

kawi odmiennej kultury i Himalajów. Też tam zamieszkaliśmy. Labirynt uliczek, hotele, restauracje, sklepy – kolorowo, tłoczno i głośno. Setki małych sklepików, pełnych pięknych wyrobów rzemieślniczych. Wełniane i jedwabne szale, poduszki, torby i mnóstwo innych rzeczy, które przyciągają wzrok i kuszą. Sprzedawcy pozdrawiają przechodniów, ale nie są nachalni.



położonych schroniskach, gdzie temperatura spada poniżej zera, leżą stosy bardzo grubych, ciężkich kołder. Sam śpiwór nie wystarcza.

Ciekawie odbywa się zamawianie posiłków. Dostajemy menu i duży zeszyt. Każdy zapisuje po angielsku imię i co chce zjeść na kolację i śniadanie. Gdy jesteśmy gotowi, przychodzi gospodyni, a porter tłumaczy to na nepalski. Kobieta słucha i powtarza. Nie zapisuje – kobiety w górach to przeważnie analfabetki. Zawsze każdy dostawał to, co zamówił. Na śniadanie też. Pamięć godna podziwu.

Moja pierwsza noc w schronisku. Zimno. Pokoiki z dwoma pryzkami, materac, poduszeczka. Kilka kołków w ścianie. Okna nieszczelne. Ściany cienkie, słychać oddechy sąsiadów. W „łazience” zimno, śmierdzi, turecka toaleta z kubelkiem do splukiwania, w kranie lodowata woda. Podobnie wyglądały wszystkie schroniska na naszym szlaku. Co ciekawe, ludzie w domach i hotelach nie zamykają drzwi. Taki zwyczaj. Na dworze blisko zera, wiatr hula, wewnątrz rozpalony piec, ale drzwi otwarte.

To wszystko było szokiem dla „kobiety na obcasach”, jaką zawsze byłam. Ale to ciekawe, wzmacniające doświadczenie. Wytrzymałam

zimno, dostosowałam się do nowych warunków. Obmywałam przy pomocy gąbki i chusteczek. Raz udało mi się trafić na ciepłą wodę i wziąć prysznic. Co za radość! Nie narzekałam na trudy. Przez kilka dni mieszkałam tak jak miejscowi. O to przecież chodzi w podróżach.

Wstawaliśmy między 6 a 7. Dygocząc z zimna, wysuwałam się z ciepłego śpiwora, ubierałam i pakowałam. Pierwszego dnia problem: co mam zrobić ze śpiworem? Jest wielki, a worek mały! Stałam bezradna. – *Pakuj* – mówi koleżanka. – *Jak? Nigdy tego nie robiłam!* Patrzyła z niedowierzaniem, ale pokazała, jak to robić.

Wędrówkę utrudniały mi bóle w biodrach i barkach, na które cierpię od lat. Często źle sypiam z tego powodu. Każdego dnia brałam porcję leków i wędrowałam dalej i wyżej. Bolało, ale w Gdańsku też boli.

POT, KREW I ŁZY

Drugiego dnia nagle, między drzewami, zobaczyłam Białą Górę. Tak nazwałam wysokie góry pokryte wiecznym śniegiem. W Himalajach do ok. 4000 m n.p.m. jest jak w Bieszczadach. Roślinność, wioski, kobiety na małych

OD WSI DO WSI

Trasa wiodła drogą używaną od stuleci przez mieszkańców. Podczas wędrówki można poznać życie ludzi, ich domostwa, pracę, zwyczaje. W takich koszach nosi się suche liście i nawóz, żeby przygotować poletko pod uprawę warzyw.

WODNA MANTRA

Nieodłączną częścią kultu w buddyzmie jest powtarzanie mantr. Można je śpiewać, szeptać lub kręcić młynkiem modlitewnym. Tu umieszczony w drewnianej skrzynce nad potokiem, nieustannie poruszany wodą.



poletkach uprawiają marchew, ziemniaki, kapustę, groch, pomidory i szpinak.

Tak więc zobaczyłam Białą Górę. Stałam jak wryta, patrząc z zachwytem. Czułam rosnący ucisk w gardle i łzy w oczach. Po chwili ciekły strumieniem. Nasz przewodnik, zaniepokojony, zapytał, czy coś mnie boli. Wyszlochałam, że to wzruszenie na widok tej góry. – *Rozumiem* – powiedział – *To sobie popłacz.*

Potem Białe Góry były coraz bliżej, otaczały nas ogromne i majestatyczne. Zbliżaliśmy się do celu wędrówki, wioski Kyanjin Gumba na wysokości 3800 m n.p.m. Drugiego

dnia zaczęłam marznąć. Byliśmy już na ponad 3000 m n.p.m. Chwilami sypał mokry śnieg, było mgliście i wietrznie. Zrozumiałam, że brak puchówki to błąd. Na szczęście kolega miał dwie kurtki. Podzielił się.

Mijaliśmy stupy z patrzącymi na cztery strony świata oczami Buddy oraz stożki kamieni o kwadratowej podstawie. Szliśmy wzdłuż *mani* – ścian ułożonych ze zdobionych, kamiennych płyt. Nad potokami stały małe świątynki z młynkami modlitewnymi poruszonymi wodą. W wioskach, na wysokich drogach, powiewały kolorowe chorągiewki. Dodają górom koloru i sacrum, niosąc ku niebu prośby i wdzięczność.

Miałam wypadek. Potknęłam się, przewróciłam i potoczyłam po zboczach. Dziwne, że nie czułam strachu. Żadnych myśli. Pustka. Turlałam się po prostu. Nagle poczułam, że coś na mnie spadło. Otworzyłam oczy, przy mnie był nasz porter. Pomógł mi się podnieść. Byłam cała. Dopiero w Katmandu zobaczyłam, jak bardzo posiniaczona.

To mnie nie zraziło, chociaż prawa łydka była pokaleczona. Raniutko, roześmiana, wchodziłam na górę, z której roztaczał się widok na piękny szczyt Langtang, lodowiec, wioskę i bezkresne góry. Po dwóch dniach w Kyanjin zaczęliśmy schodzić. Każdego dnia robiło się cieplej i bardziej zielono. Wreszcie zaczęły się obiecane lasy kwitnących

JASNA PRZYSTAŃ

Wyjątkowo ładna i jasna świetlicojadalnia w nowym hotelu. W takich salach suszy się ubrania, je posiłki, rozmawia, czyta lub zapisuje wrażenia z wędrówki.





rododendronów. Ogromne czerwone i różowe kwiaty na tle białych gór. Coś pięknego. Znowu mogłam iść tylko w koszulce. Słońce grzało i opalało niemiłosiernie. W jednym z hoteli podawano herbatę po tybetańsku – czarną z masłem jaka i solą. Oczywiście spróbowałam. Smakowała jak rosół.

Schodziliśmy inną drogą, inne były widoki. Wszędzie zielono, na stokach, aż po szczyt, tarasowe uprawy. Rolnicy orzą drewnianym radłem, ziarna są wrzucane ręcznie. Po jednym.

Cały trekking trwał osiem dni. Była piękna pogoda i słońce, ale także przejmujące zimno, zacinający deszcz ze śniegiem. Były przepiękne widoki. Wzruszenie i zachwyt. Było zmęczenie i chwila zwątpienia, gdy ból bardzo dokuczał, a trzeba było wstać i iść. Były problemy, z którymi poszłam w góry, myślałam o nich tam wysoko. Nie poddałam się, wytrzymałam trud i ból. Była radość i satysfakcja. Czułam energię i moc Himalajów. Ta wyprawa wzmocniła moją wiarę w siebie. Dała przekonanie, że mogę zrobić to, co chcę. Stałam się odważniejsza. Wiem, że zawdzięczam to Himalajom. Część ich energii została we mnie. Pragnęłam być tam znowu.



Dwa lata później ponownie pojechałam na trekking, z pełną świadomością tego, co mnie czeka. Himalaje są warte wszystkiego. Wszystko, co wartościowe, ma swoją cenę. ○

TARASIKI

Tarasowa uprawa występuje na stokach do wysokości 2000 m n.p.m. Poletka są tak małe, że gospodarz sam ciągnie drewniany pług. Za nim postępuje żona, wrzuca po ziarnie i starannie zasypuje je ziemią.

PORTERKA Z TYBETANKĄ

Dziewczyna po lewej była porterką wyprawy. Miała 20 lat i w ten sposób zarabiała na naukę. Obok niej spotkana na drodze dziewczyna z Tybetu w pięknym tradycyjnym stroju.



Iwona Postola

Wolontariuszka, wspiera różne akcje pomocowe. Zajmuje się dziećmi, które mają problemy z nauką. Była inicjatorką rejsów dla dzieci niepełnosprawnych na Zawiszy Czarnym. Jest żoną, matką i babcią.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Karkonoskie zacisze



Od paru lat Karkonosze są alternatywą dla przeludnionych Tatr. Najbardziej popularnymi miejscowościami są Szklarska Poręba i Karpacz. Jest jednak miejsce, które zupełnie różni się od typowych lokalizacji turystycznych. Michałowice zaskakują możliwościami wypoczynku. Każdy tu znajdzie coś dla siebie. Od marszy, narciarstwa zjazdowego w kompleksie Ski Arena czy biegowego na Polanie Jakuszyckiej, aż po szosowe i górskie rowery – tej wiosny zostanie otwarte 70 km zrównoważonych tras rowerów górskich, tzw. single tracków. Miłośników kultury ucieszy, że w samych Michałowicach mieści

się kameralny Teatr Nasz, z niebanalną duszą oraz ciekawym repertuarem. Cieplice Śląskie-Zdrój prócz kompleksu krytych basenów Termy Cieplickie i pięknych parków oferują Teatr Animacji, a Jelenia Góra – Filharmonię Dolnośląską i Teatr Norwida, a także kino Helios w Galerii Sudeckiej.

Michałowice to także Drewniana Róża, czyli miejsce dla rodzin i par chcących oderwać się od rzeczywistości i przeżyć urlop inaczej. Willa z siedmioma apartamentami i pokojami oraz pięć nowoczesnych domków powstały tuż nad najwyższym położonym stawem kąpielowym w Polsce (680 m n.p.m.). Właściciele stworzyli miejsce, do którego sami chcieliby się udać: las, wszechotaczająca natura, żadnych zabudowań wokół, mnóstwo przestrzeni do zabawy i poznawania świata oraz obcowania z przyrodą. Na takim pobycie każdy zdoła naładować akumulatory.

www.drewnianaroza.pl, FB @WillaDomkiNadStawem



50°49'N 15°35'E

Karkonosze leżą na południowym zachodzie Polski przy granicy z Czechami.

15 najciekawszych miejsc w Chorwacji, polecanych przez redakcję Turystyki Wirtualnej Polski

Korčula

Korčula to jedna z najchętniej odwiedzanych chorwackich wysp. Jest porośnięta piękną, śródziemnomorską roślinnością. Niewątpliwym atutem jest piaszczysta plaża – w Chorwacji przeważają plaże żwirowe i kamieniste. Na wyspie znajduje się także Korčula – jedno z najlepiej zachowanych miast średniowiecznych w tej części Europy. Zostało zbudowane na cyplu wcinającym się w cieśninę Pelješać, a układ ulic pochodzi z XIII w. i przypomina rybi szkielet.



42°55'N 16°53'E

Na Korčulę można dotrzeć ze Splitu promem lub taksówką wodną.

Split



43°30'N 16°26'E

W Splicie jest lotnisko, można więc dolecieć tam samolotem.

Split jest drugim co do wielkości miastem Chorwacji. Liczy ok. 300 tys. mieszkańców, prężnie się rozwija. Jego początki są związane z kaprysem cesarza Dioklecjana, który kazał w tym miejscu wybudować ogromny pałac. Wybrał bardzo dobrą lokalizację, w jednym z najcieplejszych zakątków północnego wybrzeża Morza Śródziemnego. To wspaniałe miasto, zwłaszcza jego nadmorska część: piękna aleja wysadzana drzewami, zacienione tarasy, zatoka otoczona wzgórzami.

15 najciekawszych miejsc w Chorwacji, polecanych przez redakcję Turystyki Wirtualnej Polski

Brela



Kilometry zwirowej plaży, otoczonej zielenią drzew oliwnych i piniowych, tworzą wspaniałe warunki do rodzinnego wypoczynku. Brela znalazła się na liście 20 najpiękniejszych plaż świata magazynu Forbes. Najpopularniejszymi są tu: Punta Rata i Berulija – obie strzeżone i wyróżnione Błękitną Flagą.



43°22'N 16°56'E

Brela znajduje się na południe od Splitu i północ od Makarskiej.

Jeziora Plitwickie

Jedną z największych atrakcji Chorwacji to bez wątpienia Park Narodowy Jezior Plitwickich. Między dwiema grupami tarasowo usytuowanych jezior, połączonych licznymi strumieniami i wodospadami uformowanymi w skałach dolomitowych i wapiennych, znajdują się szlaki turystyczne. Różnica wysokości między najwyższym i najniższym położonymi zbiornikami wynosi 135 m. Jeziora położone wyżej są większe i znajdują się w dolinie zbudowanej z dolomitów, a ich brzegi porasta bujny las.



44°52'N 15°35'E

Park leży na terenie Liki, w pobliżu granicy z Bośnią, między górami Mala Kapela a Plješevica.

Wyspa Galešnjak



Potocznie jest nazywana także Wyspą Zakochanych. Najlepiej prezentuje się z lotu ptaka. Obławane przez wody Adriatyku serce jest widoczne nawet z kosmosu, choć jest niewielkie – ma 500 m długości. Wyspa Zakochanych jest niezamieszkała i stanowi własność prywatną.



43°59'N 15°23'E

Wyspa znajduje się 30 km na południe od Zadaru, pomiędzy miastem Turaj a wyspą Pašman.

Hvar

Wyspa Hvar zachwyci każdego. Znajdziemy tu wszystko, czego można oczekiwać od wakacji – kilka godzin słońca dziennie, kryształicznie czystą wodę, piękne plaże i zatoki oraz wyjątkowe zabytki. Wyspa jest porośnięta polami lawendy.



43°10'N 16°26'E

Wyspa znajduje się na południe od wyspy Brač. Na Hvar można dotrzeć promem lub taksówką wodną ze Splitu.



Mljet

Perła południowej Dalmacji. Należy do najbardziej zalesionych wysp adriatyckich. Na zachodzie Mljetu znajduje się park narodowy, obejmujący teren dwóch jezior – Wielkiego i Małego, połączonych wąskimi cieśninami z Morzem Adriatyckim. Stąd ich wody są słone, a nie słodkie. Warto zobaczyć klasztor benedyktynów z XII w., znajdujący się na wyspie na Jeziorze Wielkim.



42°45'N 17°31'E

Wyspa leży na południowy wschód od Korčuli.

Zlatni Rat

Jedno z najpiękniejszych miejsc w Chorwacji znajdziemy na wyspie Brač. W miejscowości Bol znajduje się najczęściej fotografowana plaża Chorwacji – Zlatni Rat. Malowniczy zwirowy cypel ma 158 m długości i nieustannie zmienia kształt na skutek działania wiatru i fal morskich. Panują tu doskonałe warunki do uprawiania windsurfingu.



43°15'N 16°38'E

Na wyspę Brač można dostać się promami Jadrolinija oraz Split Tours (z Makarskiej lub Splitu).

Wodospady Krka

Park Narodowy Krka leży niedaleko Szybenika, a jego granice obejmują dolinę i kanion rzeki Krka, w którym występuje aż siedem niezwykłych wodospadów. Najwyższy z nich, Manojlovacki slap, spada z 84,5 m. Już w XIX w. były one wykorzystywane jako źródło energii. Jest to jeden z najczęściej odwiedzanych parków Chorwacji (500 tys. turystów rocznie). Zwiedzających przyciąga nie tylko piękno przyrody, ale także możliwość aktywnego wypoczynku – w szafirowej Krce można się kąpać.



43°51'N 15°58'E

Nad Krka dojedziemy autostradą A1. Do parku jest kilka wejść i z każdego można rozpocząć spacer.



Primošten

Primošten został założony już w XVI w., a jego nazwa pochodzi od słowa *pre-motiti*, czyli „przerzucić most”. Położoną na niewielkim półwyspie miejscowość najlepiej podziwiać z drogi prowadzącej z Zadaru do Splitu. Widziana z lotu ptaka, zachwyca kontrastem zabudowań w różnych odcieniach barwy pomarańczowej z turkusem Adriatyku.



43°35'N 15°55'E

Primošten znajduje się na południe od Szybenika.



Pag

Pięta co do wielkości wyspa chorwacka może pochwalić się najdłuższą linią brzegową w kraju – ma aż 270 km długości i obfituje w piękne zatoczki, cyple i plaże. Charakterystyczny krajobraz to spalone słońcem, nagie skały. Głównym ośrodkiem turystycznym jest Novalja. Warto spróbować lokalnego owczego sera – słynie jako jeden z najlepszych w Europie.



44°26'N 15°03'E

Na wyspę można dostać się przez Paški most.

Istria

Największy chorwacki półwysep jest także najbardziej zróżnicowanym regionem kraju. Oddziela Europę Środkową od Adriatyku, a doskonały klimat – będący pod silnym wpływem Morza Śródziemnego – przyciąga turystów. Malownicze miasta, leżące zarówno w głębi lądu, jak i na wybrzeżu, noszą ślady dawnych kultur.



45°16'N 13°53'E

Półwysep znajduje się w zachodniej części Chorwacji.



Vis

To najbardziej oddalona od stałego lądu zamieszkała wyspa Dalmacji – w linii prostej dzieli ją 50 km od Splitu i 150 km od wybrzeża Włoch. W miejscowości Komiza znajdziemy nie tylko zabytki architektury, ale także największą na wyspie zatokę z piaszczystym dnem morskim. Z Vis warto też się wybrać na oddaloną o ok. 5 km wysepkę Biševo. Jej główną atrakcją jest, dostępna jedynie drogą morską, Błękitna Jaskinia (Modra špilja). W godzinach południowych słońce odgrywa w jej wnętrzu niesamowity spektakl.



43°03'N 16°11'E

Wyspa leży na południe od Splitu.

Archipelag Kornati

Archipelag obejmuje ponad setkę wysepek, które na stałe są zamieszkane przez kilka osób. Park Narodowy Kornati obejmuje południową część archipelagu – w sumie 89 wysp, pośród których znajdują się wyjątkowe rafy. Kornati to raj zarówno dla żeglarzy, jak i fanów nurkowania.



43°48'N 15°18'E

Do wysp można dopłynąć statkiem z Pakoštane.

Dubrownik

Widok ze wzgórza Srđ w Dubrowniku to jeden z najpiękniejszych widoków świata – czerwone dachy domów i wieże kościołów są rozłożone na półwyspie wcinającym się w lazurową wodę. W oddali widać jachty i zielone wyspy. Mury obronne opasują całe miasto, a ich wysokość dochodzi do 22 m. System obronny uzupełniają potężne baszty i bramy. Cała zabudowa została wpisana na listę UNESCO.



42°39'N 18°06'E

Dubrownik znajduje się w południowo-wschodniej części Chorwacji.



TU JEST SAJGON

Piotr Porayski-Pomsta



Pewnym krokiem, nie biegnąc, nie przystając – idź prosto przed siebie. Patrz im w twarz, nawet jeśli kask kryje oczy, maska chowa usta i nos i nie wiadomo, czy to kobieta, czy mężczyzna. Nadjeżdżają z prawej, z lewej i jeszcze raz z prawej, mogą pojawić się z tyłu albo z przodu. A gdy już dotrzesz na drugą stronę ulicy, postawisz krok na chodniku, uważaj: oni też tam są. Gdy jezdnia pęka w szwach, zjeżdżają na chodnik, lawirują między zaparkowanymi skuterami a przechodniami.



FOT. POTR. POKRYSZKOWISTA

HONDA CITY

Sajgon liczy 10 mln mieszkańców i 8 mln skuterów, przez co zasłużył na miano Honda City. Poruszanie się po mieście inaczej niż na skuterze jest uznawane za dziwactwo i ekstrawagancję. Na zdjęciu po prawej – posterunek policji.

Chodzenie jest nienaturalne, ale jazda skuterem – wprost przeciwnie. To bardzo proste: kto umie przeciskać się przez tłum na nogach, ten przecisnie się na jednośladzie. Człowiek od młodości wiąże się ze skuterem, zrasta się z nim na dobre i na złe, do końca życia już tylko jeździ, bo iść pieszo ulicą, to jak wyjść z domu nago.

SKUTER: ZASADY DYNAMIKI

Jazda skuterem jest powolna. Dwadzieścia kilometrów na godzinę to już rajd. Jest też spokojna, tylko trzeba trzymać się zasad. Po pierwsze: twarz pokerzysty, gęba na kłódkę. Wszystko, co trzeba, można wyrazić językiem maszyny, silnika i klaksonu: „jestem tu” – jedna krótka trąbka, „jeżdż, puszczam cię” – jedna średnio długa, „posuń się, bo się spieszę” – długa powtórzona. W wietnamskim, języku tonalnym, każdy dźwięk inaczej wypowiedziany niesie ze sobą odmienne znaczenie, toteż nic zgoła nowego w mowie klaksonu. Do tego gesty ciała i ruchy maszyny. Każdy tu biegle

je czyta i rozumie. Gdy ktoś się pcha, trzeba ustąpić albo pchać się jeszcze bardziej. Oto i druga zasada: nie można się nie pchać, *ergo* pchać się trzeba.

Zwłaszcza manewr „przejazd przez skrzyżowanie” tego wymaga. Z odległości kilkunastu metrów, u zbiegu dróg, zobaczymy tylko czarny rój. Dziesiątki centaurów, jeden podobny do drugiego, uwiecznionych w kleistej mazi, zastygłych. Lecz patrząc z bliska, wszystko się tam rusza i buzuje. W środku gwałtownie wzrasta poziom jazgotu, dźwięk klaksonów zlewa się w przeciągły jęk, warkot silników w piekielny ryk, lepkie powietrze nabiera kwaśnego smaku spalin. I wtedy – trzecia zasada dynamiki – trzeba nie tylko przeć do przodu, ale też wychwytywać tonację prośb, upomnień, wskazówek, a także niemych gestów tułowi, bioder, głów, kierownic. Odpowiadać w tym samym języku grzeczniej i stanowczo. A więc trąbić, podkręcać gaz i napierać. Gdy już się przez to przejedzie, czas na czwartą zasadę: jeśli pot leje się wprost do oczu, należy przystanąć za skrzyżowaniem, podciągnąć koszulę i przetrzeć powieki. Jeżeli koszula jest mokra

od potu, wtedy...jechać dalej możliwie szybko, aż wiatr osuszy krople.

Oto Sajgon: dziesięć milionów mieszkańców, osiem milionów skuterów. Samochodów jak na lekarstwo, za to skuterem jeżdżą wszyscy: eleganckie panie, skromni robotnicy, przekupki obciążone towarami, urzędnicy w wykrochmalonych koszulach, zakręceni artyści, sfrustrowani sprzedawcy suszonej ryby i cukierków (ze specjalnymi kosztami-straganami), nerwowi kieszonkowcy – wyrzuciwszy damskich torebek i gangsterzy patrzący pańsko spod przymkniętych powiek. prostytutki miauczące z siodeł w stronę potencjalnych żywicieli. Skuter rządzi, a spacerowicze mogą do parku. Tam też jeżdżą skutery, ale znacznie rzadziej. Zresztą to zupełnie jak z deptakami: na nich również pełno skuterów, tylko trochę mniej.

Tak już od trzydziestu lat. Skuter stał się królem ulic, odkąd na otwartym na świat komunistycznym rynku pojawiła się japońska marka – Honda. I tak Japonia po raz drugi w historii najechała Wietnam. Pierwszy raz podczas II wojny światowej. Drugi – w końcówce XX w. Tym razem bez jednego wystrzału i zdaje się, że na trwałe.

WZLOT KOMUNIZMU, CZYLI POSTREWOLUCJA

Zaczęło się na przełomie lat 80. i 90. minionego wieku. W grzyby właśnie walił się system. W założeniu miał przynieść wolność i postęp, w życiu jednak natychmiast okazał się odmianną dyktatury, uciążliwszą niż inne. W Europie mało kto miał co do tego wątpliwości, więc nikt nie zapłakał, gdy upadł. W Azji było inaczej. Tutaj komunizm przepoczwarzył się w taki sposób, że zachował przywilej dyktatury, a jednocześnie pozbył się balastu odpowiedzialności. Obywatelom ogłoszono, że od teraz mają zadbać o siebie sami. Zyskali w ten sposób wolną rękę w urządzaniu sobie życia, na wszelki wypadek partia pozostała jednak jedyną siłą kierowniczą państwa i społeczeństwa. Ale gdy padło hasło „*Doi Moi*” – otwarcia gospodarczego – ludziom nie trzeba było mówić, co mają robić. Z dnia na dzień ulice zaroily się od wszelkich dóbr i towarów, mury domów, place i bazy rozkwitły pstrokatymi

sztyldami i neonami, ulice się zmotoryzowały (dosłownie), ludzie przestali się smucić i oddali się niepohamowanej konsumpcji. W ten sposób komunizm wzleciał ku górze, kapitalizm odrodził się na dole. Rzeczywista baza stała się zaprzeczeniem oficjalnej nadbudowy.

Zresztą komunizm, w swej postaci siermiężnej, ponurej i smutnej, miałby szansę przetrwać jedynie wówczas, gdyby zapewnił ludziom jakieś minimum dobrobytu. W Wietnamie oferował tylko wspomnienie zwycięstwa nad kolonizatorem, czym zresztą zyskał sobie zasłużoną chwałę wśród rzeszy rodaków. Prócz tego jedynie wojnę, głód, wyrzeczenia i śmierć. W tym sensie zajęcie prozachodniego południa Wietnamu i zjednoczenie kraju niosło od samego początku ziarno upadku systemu. Sam Hồ Chí Min przestrzegał: „Zobaczycie znów miasto po ośmiu latach partyzantki. Nie możecie dać się ponieść błyskotkom. Zwyciężyliście dzięki waszej prostocie, więc pozostaniecie wstrzemięźliwi”. Na tym polega często paradoks zwycięzców: gdy w 1975 r., po trzydziestu latach wojen, wojska Hanoi zajmowały Sajgon, ascetyczne oddziały zwycięzców z północy, *Bo Doi* – dotąd niezwyciężonych – były jak bezbronne dzieci wobec uroków dobrobytu. Zajmowały miasto, które bądź co bądź przez ponad sto lat było stolicą całych francuskich Indochin. Zostało po niej wspomnienie, obrazy *belle époque* i jej eleganckie dzielnice apartamentów,



wytwornych hoteli, soczyste ogrody, wielkomiejskie bulwary i reprezentacyjne pałace. Zostali ludzie nawykli do chaosu wolności, krzykliwi, krnąbrni, niezbyt ulegli. Oficjalnie komuniści nie mieli lepszego pomysłu niż tę duchową wolność zniszczyć i dekretować zamordyzm. Dziesiątki tysięcy południowców trafiło do obozów reedukacyjnych, z których wielu nigdy nie wróciło. Pozostałym odebrano możliwość godziwego powrotu do życia w społeczeństwie. Milion uciekło morzem i lądem, w poszukiwaniu lepszego miejsca do życia. Tymczasem tutaj kolektywizowano, upaństwowiano, indoktrynowano, a na koniec, starym dobrym zwyczajem, zafundowano nową wojnę. Kogo wskazano palcem, musiał chwycić za broń, jechać do Kambodży i (znowu) strzelać do ludzi. Ale pamięć zwycięzców zarejestrowała obraz i marzenie: lodówka, telewizor, radio, robot kuchenny, a kto wie – może nawet zmywarka. To wszystko przecież na wyciągnięcie ręki.

MIASTO W RUCHU

Od czterdziestu lat, od „wyzwolenia”, Sajgon nazywa się Ho Chi Minh i od trzydziestu uchodzi za stolicę wietnamskiego biznesu. Jak rozpalony kocioł, wre, kipi i wylewa. Nowoczesne wieżowce wyrastają pośród historycznej

zabudowy, swojskiej i kolonialnej. Bulwar Nguyen Hue, sajgońskie Pola Elizejskie, szeroki deptak między starymi kamienicami i nowoczesnymi plombami, z gigantycznymi ekranami reklamowymi pośrodku i historycznym (postkolonialnym) ratuszem na szczycie. Światło, kolor, dźwięk, ruch, młodość, energia, nadzieja, radość, zabawa, mały i wielki świat. Lokalne marki i globalne koncerny. Produkty z dolnej półki i wyroby luksusowe. Sanyo i L'Oréal na ulicy Ba Thang Hai, Louis Vuitton, Yves Saint-Laurent naprzeciwko opery. Dymiące stragany z zupą spożywaną na plastikowych taboretach, a za nimi supermarket z szynką parmeńską i francuskim winem. Wszystkim według potrzeb.

A po uczciwej pracy – zasłużony odpoczynek. Gdy zapada wieczór, jedni przed telewizor, inni na ulicę. Są miejsca rozrywki, gdzie muzyka huczy z każdej dziury w murze, zagłuszając nawet ryk skuterów. Gigantyczne, migające neony we wszystkich odcieniach widma. Tłum miejscowy i zagraniczny. Radość i zabawa. Dopóki nie wysiadzie prąd. Wtedy ryk ustaje, światła gasną. Jeszcze w latach 90. prądu nie było przez dwa dni w tygodniu i większość wyszynków miała własne generatory. Wtedy takie sceny byłyby niemożliwe. Ale 30 lat później miasto padło ofiarą globalnego zniewieścienia. Bez prądu robi się ciemno jak w noc średniowiecza. A jednak zabawa trwa w najlepsze. Nawet nabiera nieznanych kolorów. I dalej umalowane hostessy zapraszają na masaż. Właściciele barów – na drinka. Kelnerzy – na kolację. W pubach kibiców kuszą ogromne ekrany. Chwilowo martwe, ale piwo nie zdążyło się zagotować w tym upale. Niemożliwe? W końcu i dziś nawet bez obrazu można kibicować piłkarzom. Chwile braterstwa, między kibicami nawiązują się przyjaźnie międzynarodowe i międzykontynentalne.

I w parkach tętni życiem. Po alejkach biegają tłuste szczury. One też chcą zakosztować wolności. Wychodzą z nor odetchnąć powietrzem, podjeść i popić. Nad nimi latają nietoperze, skóra na ich skrzydłach skrzy się w świetle latarni, więc przypominają trochę wielkie muchy. W alejkach panie na publicznych potańcówkach. Jest to aktywność

MARKA NARODOWA

Wietnam jest jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek na świecie. Tutejsze wyroby z powodzeniem konkurują z towarami z innych krajów azjatyckich. Zwłaszcza konkurencja z Chinami, jako dominującym sąsiadem, wywołuje u Wietnamczyków poczucie dumy.



wysoce zorganizowana: jest trenerka i są jej posłuszne naśladowczynie. Co trenerka zrobi wygibas, skłon, podskok, one będą się starać to powtórzyć. Konkurencja jest duża. Co grupka taneczna, to inna muzyka, inne figury. Wieczorem park rozbrzmiewa muzyką w wielu stylach i tonacjach. Jest nawet kącik dla ramoli obojga płci, gdzie tańczy się powoli i dostojnie. Jakby w zwolnionym tempie.

SAJGON TONIE

Przy tym Sajgon gardzi przeszłością i najchętniej zatartałby ślady dawnej świetności. Nowe jest lepsze. Postkolonialnych zabytków trzeba bronić rękami i nogami przed nowoczesnością,

która ochoczo wysyła buldożery, gdy tylko nadarzy się okazja. Stary cmentarz przerebiono na park miejski, co i tak jest cudem, bo resztę zabytków burzy się taśmowo pod drapacze chmur i centra handlowe. Chciano nawet rozjechać miejsce tak nasycone historią, jak hotel Continental. Ostatecznie zburzono tylko jedno skrzydło, resztę szczęśliwie zachowano, a nawet odnowiono. Co prawda ludzie kręcą nosem i wybrzydzą (starość, dziadostwo, drogo), a portale podróżnicze dają po jednej, dwie gwiazdki z dopiskiem „zdecydowanie nie polecam”, „jak na kawę, to lepiej do Starbucksa”. Być może nie wiedzą, że w planach są poważne inwestycje – dziesięć milionów dolarów – by podwyższyć standard historycznych podwojów do wymarzonej klasy „boutique”.

DEPTAK TEORETYCZNY

Gdy zapada zmrok, ul. Bui Vien zostaje zamknięta dla ruchu kołowego. Oczywiście tylko teoretycznie. Status deptaka ratują liczni piesi – klienci wielu barów, restauracji, salonów masażu, czy też goście hosteli dla *backpackerów*.



FOT. PIOTR FORAŃSKI-POWSTA

A to właśnie Continental był pierwszym hotelem w mieście, niegdyś jedną z najnowocześniejszych budowli. Otwarto go w 1880 r., czyli z grubsza wtedy, gdy Sajgon awansował do rangi stolicy Indochin. Odtąd jego mury zaczęły zapełniać się biznesmenami, politykami, artystami. Nie licząc oczywiście zwykłych zjadaczy chleba – francuskich żołnierzy w lekich mundurach, europejskich dam w białych sukienkach, mocno wydekoltowanych, już wtedy odsłaniających ramiona i łydki. Do dziś patrzą na nas ze starych fotografii,

opasłe tomisko. Mieszkał tu kompozytor Camille Saint-Saëns. Pisarz André Malraux z rodziną spędził w Continentalu cały rok w połowie lat 20., a poeta Rabindranath Tagore (Nobel 1913 r.) był w hotelu w czerwcu 1929 r. Pisarz Graham Greene tu właśnie długimi miesiącami, w pokoju 214, pisał „Spokojnego Amerykanina”, książkę o końcu Francji w Wietnamie i początkach Ameryki, której doradcy zjeżdżali się coraz tłumniej, z coraz cięższym sprzętem wojskowym.



BALOWANIE W OCEANIE

Sajgońska młodzież szaleje na punkcie wszystkiego, co głośne, jaskrawe i szalone. Nocny wypad na balującą Biu Vien to także znakomita okazja zawarcia znajomości z ludźmi z różnych stron świata.

tu i tam wywieszonych w pachnących farbą wnętrzach hotelu. Owszem, odnowiono je, lecz te wszystkie kolumnady, restauracje, w tym słynne *café-terrasse* wokół budynku, zachowały dawną postać, choć zapewne już nie ponętną woń *belle époque*.

Do upadku Sajgonu, czyli – jak tu się mówi, mrugając przy tym okiem – wyzwolenia Ho Chi Minh, hotel, jego mury widziały (i słyszały) tak wiele, że ostatni dyrektor, Philippe Franchini, napisał o tym książkę, całkiem

Nie gdzie indziej mieścił się też sztab generalny korespondentów zachodnich agencji prasowych, gdy wojna północy z południem rozszalała się na dobre. W zburzonym już dziś skrzydle, zwanym Radio Catinat, korespondenci zbierali się, by zasięgnąć nowin od polityków, wojskowych i biznesmenów. Jeden z nich, niejaki Phạm Xuân Ân, reporter agencji Reuters, a także „Time” i „New York Herald Tribune”, zasłużył sobie nawet na pamiątkową tablicę. W zasadzie był nie tylko reporterem,



FOT. PIOTR PORAYSKI-POMSTA

SIŁKA POD CHMURKĄ

Kiedy po zachodzie słońca temperatura spada do 30–35°C, amatorzy relaksu przez ruch spotykają się w parku. Wolontariusze organizują tu wieczorne seanse gimnastyki przy muzyce, inni dają lekcje tanga.

ale przede wszystkim szpiegiem północnego Wietnamu, pseudonim X6. Nigdy nie został zdemaskowany i przetrwał do samego końca, do dnia „wyzwolenia”.

Hotel Continental, gdyby miał duszę, zapewne błogosławiłby bohaterskiego gościa. Gdyby nie on, budynek mógłby podzielić losy innych antyków. Tym bardziej że wokół niego wszystko się zmienia. Gdzie nie spojrzeć – metalowe płoty, za którymi wielkie dziury, rusztowania, dźwigi. Wietnam przeżywa boom gospodarczy i ludzi w mieście przybywa. Trzeba im miejsca do pracy, mieszkania, zakupów, zabawy i parkowania skuterów. Teraz hotel odnowią, ale za ileś tam lat znów się zestarzeje, nie wytrzyma konkurencji, a ktoś zdecyduje, że X6 był jednak zdrajcą, nie bohaterem.

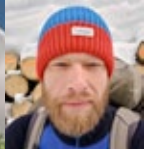
Być może budynek zniknie nawet wcześniej, bo eksperci alarmują: „Rabunkowa gospodarka wodna jest przyczyną osuwania się gruntów i coraz częstszych powodzi. O ile nie zostaną podjęte stanowcze działania, Sajgon skończy jak Dżakarta w Indonezji. Tam w ciągu ostatnich dziesięciu lat poziom gruntów spadł mniej więcej o dwa i pół metra”.

Ekspersi ekspertami, ale ludzie wiedzą swoje: liczy się to, co nowe, stare jest dziwactwem. A „przewodnia siła narodu” może się z nimi zgodzić. To może być wbrew porządkowi świata, w którym przywódcy żyją w szczęściu u władzy, ludzie zaś radośnie konsumują, zarabiają, bogacą się i bawią. Co by było, gdyby powiedziano nagle: nie będziesz tu budował, nie będziesz czerpał wody z ziemi, tylko zapłacisz wodociągom za dostawę, nie będziesz zużywać tyle wody, ile chcesz? A jak ludzie się zdenerwują i zaczną bardziej interesować się poczynaniami władzy? Czy władza będzie mogła dalej rządzić w szczęściu i spokoju? A co będzie, jak ludzie nagle przyznają rację opozycjonistom, którzy zza krat lub spoza kraju domagają się wolności i demokracji? Po cienkiej linie przewodnia siła kroczy, toteż może lepiej, by miasto tonęło, bo wtedy władza może wysyłać rządowych ratowników i darczyńców. Co ludzie policzą jej na plus. Zwłaszcza jeśli przy okazji wyburzą nierentowne rudery i powstanie coś błyszczącego, wysokiego i wystarczająco głośnego, żeby zagłuszyć ryk skuterów i jazgot ich klaksonów. ○



Piotr Porayski-Pomsta

Prozaik, tłumacz, publicysta, podróżnik, maratończyk i cyklista. Uzależniony od języków obcych. Niestrudzony poszukiwacz świętego spokoju, miłośnik dobrej kuchni, książek i głębokiego snu. Wydał zbiór opowiadań „Wycieczka” (Agawa, 2015). W trakcie publikacji zbiór reportaży z podróży po Etiopii.



DŁUGO W DRODZE
Łukasz Długowski

CZY WARTO CHRONIĆ AUTOSTRADĘ?

Powódź to jest zawsze tragedia. Ludzie tracą domy, a przed kamerami stoją politycy: „Uregulujemy rzekę, będziecie bezpieczni!”. Odpowiadają im ekolodzy: „To nic nie rozwiąże, tylko zniszczycie rzekę”. Komu wierzyć? Co jest ważniejsze: dzika rzeka czy bezpieczeństwo ludzi? Pojechałem w teren, żeby to sprawdzić.

Holenderski fotograf Jimmy Nelson jeździ po świecie i uwiecznia plemiona, które są na skraju wyginięcia. Oglądałem jego prace z cyklu „Before they pass away” („Zanim znikną”) i od razu przyszło mi na myśl: muszę tam pojechać! Zobaczyć, bo za chwilę będzie za późno. Zanim zdążyłem kupić bilet i polecieć na drugi koniec świata, przeczytałem o tym, co u nas możemy bezpowrotnie stracić. O Odrze, Wiśle i Bugu, które chcą uregulować, oraz o Białce, króciutkiej rzece w Tatrach, w której grzebali w grudniu 2018 r. i planują ją dalej regulować.

Białka jest dziką rzeką, często zmienia koryto i zdarza się, że podtopia okoliczne

wsie, więc mieszkańcy i politycy domagają się jej regulacji. Sprzeciwiają się temu ekolodzy. Zacząłem czytać o Białce i po dwóch minutach wiedziałem, że muszę ją zobaczyć. Chciałem sprawdzić na własne oczy, czy jest co chronić, więc zdecydowałem, że przejdę ją od źródła do ujścia. Dystans był weekendowy: 40 km, logistyka dość prosta: awaryjnie namiot i śpiwór, ale pewnie po drodze znajdę sklep z mielonką turystyczną i agroturystykę z ciepłym łóżkiem. Nie minął tydzień, jak z Filipem Klimaszewskim, fotografem, ruszyliśmy w drogę.

Zaczęliśmy od doliny Białej Wody w Słowacji, gdzie Białka, po połączeniu Rybiego Potoku z Białą Wodą, zaczyna

swój bieg. Kiedy pytałem kumpla mieszkającego w okolicy o to, czy mamy brać rakiety albo narty, odpowiedział: „Gdzie tam! Wszystko wytopione, nie ma sensu, przejdziecie suchą stopą”. Zeszliśmy z Filipem z asfaltu i zaskoczeni, stanęliśmy przed zaspami po uda. Zrobiłem krok, stanąłem na śniegu i – o dziwo – nie zapadłem się ani o centymetr. Okazało się, że uratował nas siarczysty mróz, który przyszedł dwa dni wcześniej i zmroził miękką jak masło śnieg w twardą skorupę.

Szliśmy tak blisko Białki, jak tylko się dało. Chcieliśmy zobaczyć nie tylko teren wzdłuż rzeki, ale i ją samą. I muszę powiedzieć, że pierwsze 20 km to był istny raj, najpiękniejszy fragment Tatr, jaki w życiu

widziałem! Było po prostu dziko: wielkie głązy w rzece, przewalone drzewa, wyspy i wysepki, baseny z krystalicznie czystą wodą i wysokie skarpy. Las wyglądał jak puszcza, a nie jak plantacja desek. Były w nim młode i stare drzewa, powalone, pochylone albo rosnące prosto jak strzała; drzewa, które gniły, takie, które były podziurawione na przestrzał przez dzięcioła czarnego, i te, którym obgryzły korę jelenie. Ani jednego ściętego pnia. Na własne oczy widzieliśmy, co oznacza, że Białka jest korytarzem ekologicznym dla zwierząt: przez całą drogę towarzyszyły nam tropy jeleni, dzików, saren, lisów i miejscami – wilka. Dzikie brzegi Białki jest dla nich jak autostrada, którą przemierzają się na trasie Tatry – Gorce.

Dzikość terenu spowodowała, że marsz był piękny, ale i bardzo uciążliwy. Regularnie się przewracaliśmy, zapadaliśmy w zaspy, potykaliśmy o konary, kilka razy o mało nie połamaliśmy nóg. Zachwyty nad pięknem rzeki mieszały się z wyrzucanymi z siebie przekleństwami. Ale kiedy tylko po chwili zapominaliśmy o bólu, znowu skupialiśmy się na urodzie rzeki i doliny. Chociaż kilkaset metrów od nas biegła droga, czuliśmy się jakbyśmy byli w głębokim interiorze Alaski albo Kanady.

Pierwszy dzień zakończyliśmy spektakularnym zachodem słońca, który oświetlił na różowo całe Tatry. Noc chciałem spędzić w namiocie, ale Filip przekonał mnie, że nie ma sensu mrozić tyłka. Lepiej przespać się w ciepłym łóżku i następnego dnia skoro świt ruszyć w teren. Zatrzymaliśmy się w Jurgowie, pierwszej większej wsi nad Białką. Pierwszej, której rzeka dość często zagraża. Wioska jest położona nisko, kilka metrów powyżej poziomu wody. Od zachodu jest ograniczona wysokim wzgórzem, więc jedyne miejsce, gdzie może wylewać, to wschodni brzeg. Właśnie tam, gdzie stoi Jurgów. W razie powodzi kto będzie winny – rzeka czy mieszkańcy? Kto będzie tym złym?

Mijaliśmy domy mieszkalne, boisko do piłki nożnej, letnie chatynki. Wszystko stało zaledwie kilkadziesiąt metrów od rzeki i zastanawiałem się, kto na to pozwolił. Jeśli nie ma w gminie urbanisty, to są inni urzędnicy, a w ostateczności jest wójt. Dlaczego urzędnicy nie zadbali o mieszkańców? Dlaczego nie wyjaśnili im, że osiedlanie się w tym miejscu grozi katastrofą? Rozumiem ludzi, którzy chcą żyć tam, gdzie ich rodziny żyją od

lat, nie rozumiem jednak urzędników, którzy ich nie ochronili. To samo można zaobserwować w całej Polsce. Pod Warszawą całe osiedla mieszkalne są budowane tuż za wałami przeciwpowodziowymi Wisły. One ochronią ludzi w przypadku powodzi 10-, 20-, a może i 50-letniej. Ale przyjdzie powódź stulecia, złoży się kilka krytycznych czynników, wały puszczą i tysiące ludzi i mieszkań znajdą się pod wodą. Dlaczego urzędnicy na to pozwalają?

Dalej szedłem wściekły. A moją złość jeszcze bardziej spotęgował smród, który roznosił się na obrzeżach Białki Tatrzańskiej. Ze skarpy, na której stoi wieś, do Białki spływały strumyczki. Wiele z nich cuchnęło szambem, co oznaczało, że mieszkańcy ewidentnie spuszczały nieczystości do rzeki. Jedna z fanek na Instagramie powiedziała mi, że to jest problem, który istnieje od lat – Białka Tatrzańska nie ma oczyszczalni ścieków i co się da, zrzuca do rzeki. „Dlatego od lat tam nie jeżdżę” – napisała. „Nie chcę moimi pieniędzmi wspierać tych, którzy zanieczyszczają rzekę”.

Kolejnych kilkanaście kilometrów rzeki było dość monotonna – Białka szeroko się rozlewała, była płytka i mało spektakularna. Wrażenie robiła dopiero z góry, dlatego wspiealiśmy się na zachodni, wysoki brzeg i szliśmy nim aż do Obłazowej. Tam, ze szczytu skały, mieliśmy widok na rezerwat, tzw. przełom Białki, uznawany za najpiękniejszy odcinek rzeki. Rzeczywiście robił wrażenie, ale ci, którzy mówią, że to najładniejszy odcinek, po prostu nie widzieli Białki w górnym biegu.

Na górze oprócz widoków znaleźliśmy masę śmieci – butelek, puszek, plastikowych opakowań, adekwatny symbol stosunku przeciętnego Polaka nie tylko do rzeki, ale do przyrody w ogóle.

Ostatnie kilka kilometrów szliśmy już na oparach. Nogi były zmęczone, żołądki puste, ramiona obolałe. W miejscu, gdzie Białka wpadała do Zalewu



Czorszyńskiego, padłem ze zmęczenia na łachę piachu. Patrzyłem w koryto, w którym leżały omszałe kamienie, a woda była szarawozielona. Porównywałem ją z krystalicznie czystą wodą w górnym biegu, z bielutkimi, wymuskany kamieniami, z dzikimi zwierzętami migrującymi wzdłuż jej nurtu. Im dłużej szliśmy ich tropami, im bardziej zbliżaliśmy się do wsi i miasteczek, tym bardziej przekonywaliśmy się, że to nie rzeka jest problemem, ale człowiek. Że to nie rzeka wymaga regulacji, ale zasady rządzące budownictwem mieszkalnym. Że to nie woda jest brudna, ale zanieczyszczają ją mieszkańcy i turyści wzdłuż jej biegu.

W naszym kierunku żwawym krokiem zmierzał facet ubrany na czarno. Niedaleko była zwirownia, więc uznałem, że to ochroniarz, który chce nas przepędzić, ale nie miałem siły uciekać. Leżałem dalej.

– *Patrzcie.* – Podszedł i dał nam swoją lornetkę. – *Tam siedzi orzeł bielik* – wskazał palcem.

I w ten sposób zasiał w nas nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Że jeszcze coś z tej dzikości zostało i jest o co walczyć. 🟢

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowypyry w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowypyry.



Pod stopami nie czuję nic, za to widzę 300-metrową przepaść. Stawiam but na wyslizganej klamrze białej w pionową skałę i wiem, że wystarczy jeden obluzowany karabińczyk, aby ta przygoda skończyła się źle. Przede mną most linowy i zjazd na tyrolce nad huczącym wodospadem. No cóż, w końcu jestem na planie thriller.



Śmigłowiec rzuca drżący cień na nieskazitelną pokrywę śniegu. Zostawia w dole narciarski kurort i wznosi się wyżej, tam gdzie jest już tylko milczący bezkres ośnieżonych szczytów. Mężczyzna w kapeluszu i brązowym wełnianym płaszczu



nerwowo spogląda przez okno. Zimowe słońce odbija się od czegoś, co ukryło się między skałami. Ze śnieżnego pustkowia wyłania się niewielki okrągły budynek przypominający kosmiczny spodek. Śmigłowiec siada na lądowisku. – *Chętnie stanę na ziemi* – mówi mężczyzna. – *Stanie pan na lodzie* – odpowiada chłodno towarzysząca mu kobieta.

MY NAME IS PAUL

Mężczyzna to James Bond, a scena pochodzi z filmu „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości”, który w tym roku świętuje 50. urodziny. Kosmiczny spodek to filmowa baza Piz Gloria, gdzie oficjalnie mieści się instytut badań nad alergiami, a nieoficjalnie siedziba czarnego charakteru Ernsta Stavro Blofelda. Budynek na szczycie góry Schilthorn (2970 m n.p.m.) w Alpach wzniosły szwajcarskie koleje linowe krótko przed rozpoczęciem zdjęć do filmu. Producent dowiedział się o tym miejscu przypadkiem, zobaczył je na pocztówce w hotelu. Natychmiast zaproponował sfinansowanie wyposażenia stacji w zamian za udostępnienie lokalizacji na plan filmowy. Dzięki temu scenografowie mogli zaaranżować wszystko po swojemu. Efekt ich pracy do dziś można podziwiać w znajdującej się we wnętrzu spodka panoramicznej restauracji, która obraca się wokół własnej osi, oferując gościom widok na ponad 200 alpejskich szczytów, w tym Eiger, Mönch i Jungfrau. W przytulnych wnętrzach salonu alpejskiego, w którym Jamesa Bonda otaczała gromadka pięknych i podejrzanie skąpo ubranych pacjentek kliniki (środek zimy w Alpach!), goście mogą dziś zjeść

brunch z kieliszkiem szampana. Wdzięczni producenci udzielili stacji bezterminowej licencji na używanie zdjęć z filmu, które wykorzystano w ekspozycji Bond World, prezentującej eksponaty i ciekawostki związane z planem filmowym.

Rozmach produkcji porażał, a producenci zdawali zupełnie nie liczyć się z kosztami. Jeden

dzień zdjęciowy kosztował nawet 100 tys. franków szwajcarskich. Nic dziwnego – na potrzeby ujęć sprowadzono m.in. 7 ton śniegu i przetransportowano go w górę helikopterem. Mieszkańcy Mürren, wioski u stóp Schilthornu, wspominają, że kilkumiesięczna obecność ekipy filmowej wywróciła do góry nogami życie całej okolicy. Podobno urodziło się potem

NA CO PATRZY REGINA?

Okna ponadstuletniego hotelu Regina w wiosce Mürren wychodzą na masyw Jungfrau, który o każdej porze roku wygląda inaczej, ale równie pięknie.



sporo niepodobnych do nikogo dzieci, a co barwniejsze anegdoty powtarza się do dziś. Jedną z nich jest rozmowa odtwórcy roli Jamesa Bonda z opieszłym kelnerem w hotelu Jungfrau. Zniecierpliwiony oczekiwaniem na zamówienie aktor krzyknął: – *Czy ty wiesz, kim ja jestem? Nazywam się George Lazenby!* – Kelner wzruszył ramionami i odparł: – *A ja jestem Paul.*

Tam, gdzie nocuję, obsługa się stara, o ile jest akurat obecna. Nie mogę na to liczyć późnym wieczorem ani wcześniej rano. Reginą, ponadstuletnim hotelikiem z tradycjami i niesamowitym klimatem, zarządza wspólnota złożona ze stałych gości i sympatyków, którzy kilka lat temu połączyli swe siły, aby ocalić to miejsce od smutnego końca. Wiele pensjonatów i hoteli na prowincji trafia w ręce zagranicznych właścicieli, które zamieniają je w prywatne apartamenty lub bezduszne sieciówki. Taki los groził również Reginie, zbudowanej w 1895 r. z myślą o średniozamożnych turystach. Hotelik nigdy nie miał porażać luksusem, ale to właśnie proste, przytulne wnętrza, których główną ozdobą są okna z olśniewającym widokiem na masyw Jungfrau, tworzą jego niepowtarzalny nastrój. Piętnastu stałych bywalców Reginy nie wyobrażało sobie, by mogli przenieść się gdzie indziej. Zrzucili się i wykupili hotel, a potem własnoręcznie przeprowadzili remont, którym za darmo pokierował zaprzyjaźniony konserwator zabytków. Na koniec każdego sezonu organizują weekend sprzątania i malowania, aby w Reginie zawsze było schludnie i czysto.

Mój pokój jest cudownie ascetyczny: posłane na białe łóżko, skrzypiąca podłoga, mały drewniany stolik i nadgryzione zębem czasu krzesło. I tylko jedno gniazdko, bo sto lat temu nikt nie dbał o telewizor, minibar i armię ładowarek do telefonów, tabletów i aparatów. Pamięć tamtych czasów drzemie w starych plakatach, kryształkach żyrandoli i delikatnych wzorach art déco na ścianach jadalni.

POCIĄG DO SERA

W Szwajcarii utwierdzam się w przekonaniu, że wyjątkową atmosferę pensjonatu tworzy nie tylko widok z okna, ale i ludzie, którzy go prowadzą. Tak jest też w Szarotce, czyli hotelu Edelweiss w Rigi. Z Mürren to jakieś 120 stromych, krętych i bajecznie widowiskowych kilometrów, które zaskakująco sprawnie da się pokonać w czasie podróży koleją tradycyjną, zębatą i linową, a także statkiem po urzekającym Jeziorze Czterech Kantonów. Czas oczekiwania na

FACECI OD KUCHNI

Gregor (z lewej) i Benjamin (z prawej) prowadzą hotel Edelweiss w Rigi. W ziołowym ogródku serwują gościom orzeźwiającą herbatkę, a w restauracji finezyjne przysmaki.



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

przesiadkę przeważnie wynosi kilka minut, w dodatku na wszystko obowiązuje jeden bilet (Swiss Pass). A jeśli nie mamy ochoty przenosić walizki między peronami, to możemy ją nadać przesyłką konduktorską pod wskazany adres. Widoki z okien pociągów i kolejek są jak w najlepszych parkach krajobrazowych. Nie mogę uwierzyć, że w Szwajcarii to po prostu zwyczajny środek transportu, który na miejscowych nie robi wrażenia.

Przekonuję się o tym, obserwując pasażerów kolejki zębatej na linii Rigi Kulm – Vitznau. Jej czerwone wagoniki przypominające

zabawki mozolnie wspinają się po bajkowych wzgórzach masywu Rigi. Tylko ja i garstka turystów przyklejamy nosy do szyby, wzdychając na widok ośnieżonych szczytów i lazurowej wody polodowcowego jeziora, które można przeciąć rozkosznym rejsem, jeśli wysiadzie się na ostatniej stacji i złapie statek do Lucerny. Ale miejscowych te widoki zdają się obchodzić tyle co zeszłoroczny alpejski śnieg. Są zaaferowani umieszczaniem pakunków na specjalnej platformie, którą mikropociąg pcha przed sobą. Ładują na niej bańki z mlekiem, z którego wyrabia się słynną szwajcarską

RUSZYŁA MASZYNA PO SZYNACH OSPALE

Kolej zębata powoli przemierza wzgórza masywu Rigi. Raz – że stromo, dwa – trzeba spokojnie nacieszyć się takim widokiem.



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

KRAINA ŁAGODNOŚCI

Stały element szwajcarskich Alp to rude krowy, łagodne i delikatne jak ser, który powstaje z ich mleka.

czekoladę. I fantastyczne sery, których próbuję w gospodarstwie Chäserenholz.

Podobno przez kilka sezonów dorywczo pracowali tu Polacy i trudno im się dziwić. Obejście wygląda jak z pocztówki, ale nikt z odwiedzających nie przybywa tu dla pięknych górskich widoków. Wszyscy pędzą do chłodnej piwnicy, gdzie mimo 15°C panuje gęsty serowy zaduch, który można ciąć nożem. Na półkach w równiutkich rzędach dojrzewają dostojne krążki prawdziwych rarytasów. Mutschli, camembert, brie, ser alpejski i lokalna wariacja na temat pleśniowego klasyka – rigin-sola. Wszystkie z mleka od okolicznych krów. Bo wzgórze Rigi oblegają przede wszystkim rudo-białe krasule, a nie, jak na naszym Podhalu, owce. Ich wielkie dzwony, o dźwięku łagodnym jak one same, słychać całymi dniami. I nocami, o czym dowiaduję się, wychodząc po północy na balkon. Nad spowitymi nocą górami niesie się delikatne dzwonienie. Będzie tak aż do jesieni, kiedy nastąpi *Alpabzug* – uroczyste spędzanie krów w doliny na zimę, któremu towarzyszą lokalne festyny.

ZIOŁOWY ZAKĄTEK

Nie mogę się zdecydować, o jakiej porze widok z mojego okna jest najpiękniejszy. Hotel Edelweiss mieści się tuż przy stacyjce Staffelhöhe. Raz na godzinę przejeżdża tędy zębatka, która jest jak czerwona wisienka na torcie złożonym ze srebrzystych szczytów, turkusowej

wody jeziora i łąk usianych ziołami. Te ostatnie stały się motywem przewodnim hotelu. Przed budynkiem w stylu alpejskim właściciel, Gregor, urządził ogródek, w którym hoduje kilkaset gatunków ziół. Nie ma tu po prostu mięty czy rozmarynu, ale kilka lub kilkanaście ich odmian. Kiedy Benjamin, ceniony szef kuchni z luksusowej restauracji w Vitznau, zobaczył to miejsce, od razu wiedział, że chce tu pracować. Dziś Gregor i Benjamin wspólnie prowadzą hotel i sami mieszkają w nim z rodzinami. Pracują na własnych zasadach, obejmujących doskonałą *work-life balance*. Na blacie recepcji leżą resoraki, w biurze obok komputera stoi bujaczek dla niemowlaka. Na terenie ogródka pod okiem babci biegają bose maluchy. Ale mimo atmosfery rodzinnego pensjonatu jakość usług jest tu na najwyższym poziomie, o czym świadczy nasza kolacja złożona z 10 dań.

To nie jest po prostu posiłek, to kulinarne misterium. A na prostym drewnianym stole nie lądują zwykłe dania, ale efekty prawdziwej alchemii. Tu wszystko zadziwia, intryguje, a włożone do ust odbiera mowę. Nie chodzi tylko o sposób podania, jak w przypadku szynki i smażonych listków ziół rozwieszonych niczym suszące się pranie na małych sznurkach. Sekretem są niesamowite połączenia składników, dające niespotykane nigdzie indziej smaki. Szczupak z biskwitem z sztyjek raków na kalafiorze z kiszoną szalotką i selewym chipsem to jedno z prostszych dań.



WSZYSTKO KWITNIE WKOŁO...

**Wiosną alpejskie
łąki wyglądają
najpiękniej, bo kwitną
wtedy wszystkie
polne kwiaty, w tym
charakterystyczne
dzikie storczyki.**

Na deser sorbet z rabarbaru, a do picia ocet z moreli. Wszystko absolutnie najwyższej jakości. Z tego powodu w menu nie znajdziemy kurczaka – Benjamin uważa, że nawet ekologiczne hodowle nie stwarzają ptakom wystarczająco dobrych warunków, dlatego nie chce serwować ich swoim gościom. W tym wyrafinowaniu jest prostota – wszystkie dania powstały ze składników, które występują w Szwajcarii. Żadnych sztuczności, żadnej egzotyki. Jak marcepan, to ze słonecznika i dyni, jak cola, to ze specjalnego ziela. Benjamin nie używa nawet pieprzu – bo i po co, skoro w ziołowym ogródku znajdzie lokalny

odpowiednik? Jedynym wyjątkiem od zasady lokalności jest porządna kawa.

Przyglądam się daniom na talerzu i zastanawiam, jak to możliwe, że podają je w miejscu, gdzie każdy hotelowy klucz ma breloczek w kształcie krowy. Obcuje z kuchnią na światowym poziomie, a przecież Benjaminowi daleko do znerwicowanych kucharzy-celebrityów i nadętych jurorów w kulinarnych show. I może właśnie ten luz, spokój i czyste górskie powietrze sprawiają, że wszystko tak tu smakuje. Nawet recenzenci Michelin dali się uwieść, umieszczając Szarotkę w słynnym przewodniku. Podejrzewam, że gdy tylko

wysiedli na stacyjce obok, tak jak ja dali się oczarować temu miejscu.

SLOW PO SZWAJCARSKU

Okolice Jungfrau ze swym pełnym dramaturgii pejzażem budzą skojarzenia sensacyjne. Pewnie dlatego, że na każdym kroku dostarczają wrażeń – tu via ferrata, tam spacer po przezroczystej kładce wokół stacji Birg (2677 m n.p.m.), która powoduje dylemat: nie patrzeć w dół czy jednak zachwycić się światem leżącym u stóp? Rigi pozwala ukończyć to przyjemne napięcie. Tu można by sfilmować sielankową „Heidi” – najsłynniejszą szwajcarską powieść o dziewczynce wychowującej się w chacie na alpejskiej hali. Właśnie tak wspomina beztroskie dzieciństwo Josef, przewodnik górski. Dawniej rodzicom wolno było zabrać dzieci ze szkoły wczesną wiosną i całą rodziną przeprowadzić się na lato w góry. Na czas wypasania krów rodzina Josefa mieszkała w drewnianej chacie bez prądu. Wstawało się o świcie i pracowało do wieczora, kiedy moment rozpalania lamp gazowych wyznaczał porę gry w karty i nocnych opowieści.

Dziś dzieci mają obowiązek chodzenia na lekcje do końca roku szkolnego. Kiedy spaceruję wśród łąk pachnących ziołami i polnymi kwiatami, żałuję, że niewiele maluchów ma dziś szansę zaznać prawdziwych wakacji na wsi. Może tak jak ja robiłyby zakupy w małym kramiku przy szlaku, w którym jakaś niewidzialna ręka zostawiła dla wędrowców sery, kielbasę i miód w zamian za wrzucenie opłaty do puszk. Albo spały w letnim domku urządzonym w starym wagonie, ustawionym na trasie dawnej kolejki, po której dziś pozostał tylko tunel. Podobno na zimę wnosi się do niego śnieg, żeby narciarze biegowi nie musieli odpinać nart.

W Rigi człowiek po prostu ma ochotę zostać. Tak jak trzy siostry z legendy, które



schroniły się w górach, uciekając przed prześladowającym je szaleńcem. Zamieszkały wśród hal i pomagały pasterzom. Kiedy umarła ostatnia z siostr, ze skały nad ich domem wypłynęło źródło. Dziś urządzono tu luksusowy basen termalny Rigi Kaltbad z fantastycznym widokiem na Alpy. Podczas przystanku na szlaku między Rigi Kulm a Rigi Klösterli pytam przewodniczkę Daniełę, ile razy wcześniej tu była. – *Zdziwisz się, ale tą trasę nie szłam nigdy* – odpowiada. – *W Szwajcarii mamy tyle górskich szlaków, że nie starczy życia, by przejść je wszystkie, choć po górach chodzimy od małego. W naszym kraju wszędzie jest blisko, więc jako dzieci często jeździliśmy na wycieczki ze szkoły albo z rodzicami. Aż przychodzi moment, kiedy mamy dosyć gór. Jako nastolatki chcemy czegoś innego, wolimy pojechać nad ciepłe morze na południe Europy. Ale to mija. Kiedy zobaczymy trochę świata, z powrotem zakochujemy się w Szwajcarii. Już na dobre!*

Na tym etapie jest motorniczy kolejki, który po zmroku wysadza nas przed Szarotką. Choć wagonik rozwija szaloną prędkość 20 km/h, jemu się nie spieszy. Spokojnie czeka, aż wszyscy wysiadziemy. Schodzi z nami na maleńki peron, zadziera głowę i patrzy na gwiazdy. Uśmiecha się, a potem pyta: – *Czy jest coś piękniejszego?* ◯

ZAWSZE WARTO CZYTAĆ

Ze szczytu Rigi rozciąga się widok na 13 jezior, środkową Szwajcarię, a przy dobrej widoczności można dostrzec Niemcy i Francję.



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



LEŚNY RAJ

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Ciemność otoczyła mnie ze wszystkich stron. Zapisane w notesie wskazówki okazały się bezużyteczne. Próbowałem dojechać do dawnej osady leśnej. Wszystko byłoby prostsze, gdyby nie to, że Chatę w Lesie otacza prawie dwudziestokilometrowy pierścień lasu. Dopiero kiedy zobaczyłem nikłe światła w domostwach, odetchnąłem z ulgą. W ten sposób znalazłem się w sercu Borów Stobrawskich. Na wyciągnięcie ręki miałem jeden z piękniejszych zakątków Opolszczyzny.

Lasy Stobrawskie odwiedziłem kilkukrotnie. Wiosna zawsze wydawała mi się lepszym momentem. Starorzecza Odry wypełnione wodą tworzyły niezwykle widok pośród świeżej zieleni. Ostatnim razem wybrałem się tam jesienią. Okazało się, że jest bardzo ciekawie, a las pomalowany kolorami wyglądał obłędnie. Planując podróż w Bory Stobrawskie, trzeba mieć świadomość, że las nie zapewnia wielkich atrakcji, krzykliwych i kolorowych rozrywek. W okolicy trudno znaleźć dobrą restaurację, a dobre agroturystyki można policzyć na palcach jednej ręki. Wybrałem Chatę w Lesie w Murowie w okolicach Zagwizdzia. To bardzo dobre rozwiązanie,

a dojazd, poza ostatnim odcinkiem przez las, nie jest bardzo skomplikowany. Z tej okolicy można natomiast w miarę szybko dostać się do ciekawych ścieżek dydaktycznych i klimatycznych miasteczek. Wspomniane Zagwizdzie jak na z pozoru zwykłą wieś może pochwalić się miniogrodem botanicznym z pięknymi różanecznikami, ruinami starej huty i muzeum w starej kuźni. Niespełna 20 km dalej trafiłem do miejscowości Pokój z ciekawymi poniemieckimi zabudowaniami. Można tam wyczytać jak na dłoni zawiłą historię tych terenów.

Prawie 80 proc. powierzchni Stobrawskiego Parku Krajobrazowego zajmują lasy. W większości sosnowe. Robi

to niesamowite wrażenie, kiedy jedzie się drogą i po chwili traci się poczucie przestrzeni. Wszystko wydaje się podobne. Na eskapadę koniecznie trzeba zabrać obuwie trekkingowe, a w deszczowych okresach kalosze. Nawet w puszczech na wschodzie nie widziałem tylu kleszczy, co na Opolszczyźnie. Dobrze jest zabezpieczyć się przed takim spotkaniem odpowiednim ubraniem i preparatami przeciw insektom. Kiedy już wszystko gotowe, można ruszać do lasu. Infrastruktura turystyczna jest rozwinięta minimalnie, więc niestety samochód trzeba zostawić, gdzie się uda.

We Wronowie miejsce do zaparkowania znalazłem przy starym murze.

Stąd też wychodzi ścieżka prowadząca do starorzeczy. Posiłkowałem się pomocą miejscowych, bo mimo dokładnej mapy satelitarnej nie mogłem znaleźć odpowiedniego miejsca. Najlepiej jest pytać o stare drzewa w wodzie. U mnie poskutkowało to bezbłędnymi wskazówkami. Kiedy wyjdzie się z wioski, można poczuć się jak w prawdziwej puszczy. Gęste zarośla, nikła ścieżka i szum drzew. Dopiero po dotarciu do wody jest się dużo łatwiej poruszać. W lesie odnajdziemy przepiękne pomniki przyrody. Potężne dęby, wysokie sosny i całą masę innych gigantów. Rosną one w pobliżu starorzeczy Odry. Klimat jest tam naprawdę wyjątkowy. To miejsce polecam jednak tym, którzy lubią taką grę terenową w poszukiwaniu atrakcji.

Prostszym rozwiązaniem jest spacer ścieżką dydaktyczną w okolicach Popielowa. W całości liczy ona 12 km. Prowadzi przez las dębowo-grądowny w dolinie Odry. Pomiędzy asfaltowy odcinek ścieżki i dojechałem do końca drogi w okolice przystanku Grąd. Trudno tam trafić, dlatego podaję namiary GPS: 50°48'30.9"N 17°43'38.5"E. Zaparkować można obok ostatnich zabudowań po prawie stronie. Droga biegnie przez las i co jakiś czas pojawiają się na niej tablice

informacyjne. Koniecznie trzeba skrócić w kierunku 600-letniego dębu Klara. Znajduje się on w przepięknym zakątku. Cała trasa przebiega wyraźną i dobrze widoczną ścieżką. W związku z tym, że zostawiłem auto przy lesie, mniej więcej w połowie trasy zawróciłem. Punktem zwrotnym może być przystanek na ścieżce o nazwie Gęsi Staw. Jest to bardzo ciekawy przykład użytku ekologicznego. Na stronie internetowej parku można znaleźć dokładny opis przebiegu tej trasy i pozostałych. Wiele z nich jest ciekawych ze względu na obserwacje ornitologiczne. Potrzeba jednak dobrej lornetki i odrobiny szczęścia.

Polecam wybrać się nad pobliskie Jezioro Turawskie. Powstało ono na Małej Panwi i ma ogromny wpływ na obecny wygląd tych terenów. Zatrzymane wody tej niepozornej rzeki przez wieki szeroko rozlewały się u ujścia do Odry. Dzisiaj wyhamowane zaporą, utworzyły ogromne jezioro. Latem jest to mekka dla spragnionych słońca i wodnych kąpiei mieszkańców Opola i okolic. Wiosną i jesienią to idealne miejsce na spacer. Brzeg północny jest oblepiony przez ośrodki wypoczynkowe. Są tam piaszczyste plaże i malownicze leśne ścieżki. Warto wybrać się w kierunku miejsca, gdzie wody Małej

Panwi wpływają do jeziora. Jesienią przy niskim stanie wody można dotrzeć tam swobodnie wzdłuż brzegu. W innych porach roku trzeba trochę pokluczyć po lesie.

Stobrawski Park Krajobrazowy nie jest znaną atrakcją turystyczną. Nawet mieszkańcy regionu nie do końca znają jego potencjał. Jest to bardzo rozległy obszar, w którym brakuje infrastruktury turystycznej. Polecam to miejsce szczególnie wiosną i jesienią. Latem panuje tam jednolita zieleń, przez którą tylko czasami przebija się błękit nieba. Te okolice docenią wszyscy miłośnicy leśnych spacerów. Poczują się tam jak w raju. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



GÓRALU, CZY CI NIE ŻAL...

Karol Fryta

Dagestan to najdalej na południe wysunięty fragment Federacji Rosyjskiej. Znalazłem w nim ślady komunizmu, i niegasnącą pamięć o oporze twardych kaukaskich górali.







FOT. MARCIN PRYTY

WIĘCEJ ISLAMU

Olbrzymi meczet centralny w Machaczkałe pomieści 17 tys. wiernych. Islam na Kaukazie coraz mocniej determinuje życie mieszkańców. Niestety, w ostatnich latach niektórzy z nich zradyzalizowali się i dołączyli do armii tzw. Państwa Islamskiego.

Marszrutka z Groznego jedzie szybko. Zaraz za stolicą Czeczenii mamy po trzy pasy w jedną stronę, potem po dwa, ale przed Machaczkałą do dyspozycji kierowców jest już tylko po jednej nitce w obu kierunkach. Tuż przed stolicą rosyjskiej Republiki Dagestanu grzęźniemy w korku. Na ulicy i wokół niej chaos. Popiskują klaksony, ludzie przemykają między pełzającymi autami.

Dookoła zwisające płachty i banery reklamowe, mnóstwo nieróżniących się od siebie sklepików spożywczych, w których towar zajmuje centralne miejsce na podłodze i trzeba nieźle lawirować, aby nie wywrócić skrzynek, opakowań, butelek czy worków. Wszędzie króluje plastik, obłoki kurzu, korzenie drzew rozsadzające chodniki, tak że trzeba zachować maksymalną czujność, aby nie skreślić kostki. Gęsto od ludzi.



MÓDL SIĘ I ĆWICZ!

Widziałem kilka upadłych miejsc, więc wydaje mi się, że przyjechałem do kolejnego. Dlatego powoli tęsknię za Groznym. Nie wiem, jak największe miasto Czeczenii wyglądało przed wojnami, ale zainwestowane miliony dolarów sprawiły, że zapanował w nim ład. Nie można powiedzieć tego o stolicy Dagestanu, niedofinansowanej jak cała republika, zepchniętej geograficznie i politycznie na antypody Wielkiej Rosji.

Dagestan to tygiel kulturowy wyróżniający się wieloetnicznością i wielojęzycznością, dla którego mostem łączącym obecne tu narody jest język rosyjski. Na terenie republiki mieszka ponad prawie 40 grup etnicznych – łącznie blisko trzy miliony ludzi. Trzon stanowią Awarowie, Dargijczycy, Kumycy i Lezginini. Można jednak znaleźć przedstawicieli i takich mniejszości, jak Rutulowie, Agulowie czy Nogajowie. Wspólnym mianownikiem dla niemal wszystkich jest religia.

W Dagestanie dominuje islam sunnicki z dwoma silnymi nurtami: sufizmem i salafizmem. Zwolennicy tego drugiego określane są często wahhabitami, a ci z kolei utożsamiani są z ekstremizmem i fundamentalizmem islamskim. Salafici dążą do wprowadzenia zasad



panujących w państwie rządzonym na prawach szariatatu. Od kilku lat w republice przybywało także zwolenników tzw. Państwa Islamskiego, którzy organizują zamachy i tworzą komórki jego sympatyków. Część z nich wyjechała na wojnę w Syrii.

Machaczkała to młode miasto, największe na Kaukazie Północnym, które zamieszkuje około 600 tys. ludzi. Powstałe w 1844 r., swoją nazwę zmieniało dwukrotnie, by w końcu przyjąć obecną, którą nosi od nazwiska komunistycznego rewolucjonisty Machacza Dacha-dejewa. Miasto ma strategiczne znaczenie: jest przykaspjskim portem, a także przystankiem na szlaku handlowym łączącym Rosję z Bliskim Wschodem. Jego dynamiczny rozwój datuje się na przełom XIX i XX w., kiedy wybudowano linię kolejową Rostów nad Donem – Baku. Jednak wielki boom inwestycyjny i edukacyjny przetoczył się tu w latach 1950–1970.

PLAŻA KRZEPI

Od wczesnych godzin rannych na machaczkałskiej plaży trwa walka o utrzymanie tężyzny fizycznej.



FOT. KAROL BRYTA

SOCREALIZM JESZCZE ŻYWY

Plac Lenina
z obowiązkowym
monumentem,
który dominuje
nad otaczającym
go krajobrazem
betonowej pustyni.

Powstały wyższe uczelnie, szkoły, kina, teatry, rozwinął się przemysł.

Przebijam się przez stolicę i rozglądam intensywnie. Nasłuchałem się i naczytałem, że Czeczenia to przy Dagestanie, którym co jakiś czas targają akty terroru, oaza spokoju. Spodziewałem się też bliskowschodniej atmosfery, ale pierwsze wrażenie jest mylące. Ulicami przechadzają się kobiety w krótkich spódniczkach, w dodatku nie wszystkie kryją włosy pod hidżabami. W jednym z barów spotykam mężczyzn palących papierosy i pijących alkohol, co w sąsiedniej Czeczenii jest surowo zabronione.

Wieczorem docieram do meczetu centralnego, który został wybudowany w 1996 r. i jest w stanie pomieścić 17 tys. wiernych. Meczety jest nie tylko główną świątynią w Machaczkałe, ale również w całym Dagestanie. Skupiam uwagę otoczenia, bo przechadzam się z aparatem na szyi. Pytam, czy mogę wejść, aby zrobić parę zdjęć. Popęlam jednak błąd, ponieważ dopytuję zwykłych ludzi, a nie ochroniarzy, których i tak ciężko rozpoznać w tłumie. Ci, po pięciu minutach, wyprowadzają mnie z meczetu i kierują do pomieszczeń administracyjnych, które

mieszczą się w budynkach obok. Zielona tabliczka z napisem „Imam” na drzwiach, przez które przechodzimy, jest zapowiedzią tego, że o moim losie będzie decydować najważniejsza tu osoba...

Ochroniarz wraca po kilku minutach i tłumaczy, że musiał mnie wyprowadzić, ale imam wyraził zgodę na fotografowanie. Dobra wiadomość. Akurat z dwóch minaretów zaczyna rozbrzmiewać *azan* (wezwanie do modłów) na wieczorny *namaz* (jedną z pięciu codziennych modlitw).

Drugiego dnia o poranku idę na miejską plażę. Co tam się dzieje! Młodzi, ludzie w średnim wieku, wielu starszych – biegają, podnoszą ciężary, grają w siatkówkę, ciągną liny, ćwiczą sporty walki. Przyglądam się z zaciekawieniem pięćdziesięcioparolatce w hidżabie, która wygina się na siłowni pod chmurką. Tuż obok niej białowłosa mężczyzna w krwistoczerwonym dresie Spartaka Chasawjurt podciąga się na drążku kilkanaście razy. Nie jest za ciepło, 10–12 stopni i wieje wiatr. Nie zraża to jednak kilku śmiałków, którzy prężą torsy i rzucają się w butelkowo-zielone fale morza. Odnoszę wrażenie, że cała Machaczkała ćwiczy. Imponujące!



FOT. KAROL ERNST

Ledwie kilkaset metrów dalej, a przenoszę się do niedawnej, choć minionej epoki. Widziałem monstrualny plac w Charkowie, centralne miejsca w Tbilisi, Taszkencie, Duszanbe czy Erywaniu, ale dopiero tutaj poczułem się jak w Związku Radzieckim! Przede mną rozpościera się plac Lenina z górującym nad nim monumentem. Na budowlach socrealistyczne mozaiki. I bardzo dobrze znane: sierp i młot. Przy placu ma także swoją siedzibę putinowska partia – Jedna Rosja.

PAŃSTWO SZAMILA

Droga z Machaczkały do Gunibu jest fantastyczna. Ciągnie się wśród gór, brzegami zbiorników wodnych, meandrujących rzek i strumieni. Można swobodnie nasycić się widokami, bo szlak nie jest jak wyciosany w kamieniu, gdzie czasem ledwie auto się zmieści, lecz ciągnie się zboczem góry. Udać się zatem sięgnąć wzrokiem nawet na kilkanaście kilometrów przed siebie.

Sam Gunib przypomina trochę piętrowy tort. Droga, która wznosi się spiralnie, dzieli się na trzy części. Jedną z nich jest „parter” z pierwszymi domami. Na „piętrze”

znajduje się plac targowy, restauracja, parę sklepów i znudzeni taksówkarze. Na szczycie zaś można znaleźć fragmenty XIX-wiecznych fortyfikacji imama Szamila oraz dalszy ciąg zabudowań.

Do Gunibu przyjechałem właśnie ze względu na imama Szamila (ur. 1797), z pochodzenia Awara, który przez ćwierć wieku walczył z wojskami carskimi, skutecznie powstrzymując Rosję przed zdominowaniem Kaukazu. Od tamtego czasu Szamil, ze statusem wielkiego bohatera, jest tu hołubiony. Nie ma sioła czy miasteczka bez ulicy, której jest patronem. Nie znalazłem też nikogo, kto nie wiedziałby, kim był. Ten twardy góral wyróżniał się wśród rówieśników już od dziecięcych lat – lubił gimnastykę, biegi, fechtunek, był nad wyraz silny fizycznie, a zimą hartował się, chodząc boso i z odkrytą piersią. Studiował Koran pod okiem jednego z szajchów, uczył się również logiki, retoryki, filozofii, prawa, gramatyki języka awarskiego i arabskiego. Po odebraniu wstępnej edukacji udał się w podróż po Dagestanie i zgłębiał wiedzę koraniczną pod okiem innych ulemów.

Tymczasem carska Rosja krok po kroku zajmowała kaukaskie ziemie. W jej władaniu

PAMIĘCI WODZA

Przestrzeń Dagestanu jest pełna pamiątek po legendarnym Szamilu. Ten mural wykonano farbami olejnymi na skale przy drodze w pobliżu Gunibu.

OSTATNI BASTION

**Sioło Gunib, gdzie
w 1859 r. imam Szamil
poddął się Rosjanom.
To tutaj zgasała XIX-
wieczna nadzieja
kaukaskich górali
na niepodległość.**

była już Osetia, Kabarda, część Czeczenii. Nad Terekiem powstały pierwsze stacje kozackie, z których Rosjanie zaczęli organizować zbrojne wypadły na tereny Czeczenii i Dagestanu. W tym czasie na Kaukazie Północnym rósł jednak ruch oporu przeciw caratowi. Już pod koniec XVIII w. na czele Czeczenów stanął Mansur – sufi, który namawiał ludzi do wyznawania mistycznego islamu w najczystszej postaci. Po Mansurze, trzymanym do śmierci w twierdzy, przyszła pora na dwóch duchowych przywódców regionu, którzy nosili tytuł imama. W latach 1828–1832 funkcję tę piastował Gazi Muhammad, a w okresie 1832–1834 Gamzat-bek. Szamil zapamiętał szczególnie Gazi Muhammada, przy którego boku walczył aż do jego śmierci. Sam ledwie jej umknął, kiedy podziurawiony rosyjskimi kulami skrył się w lesie. Przyszłego imama cudem uratował mieszkaniec aułu Gimry.

W 1834 r. Szamil przyjął godność imama i rozpoczął rządy, które trwały do 1859 r. I była to władza absolutna, skupiona wokół wartości religijnych. Każdą wolną chwilę poświęcał na studiowanie Koranu, zjednywał górali z Dagestanu, a potem i Czeczenii. Owocem tych działań było utworzenie teokratycznego państwa rządzonego na prawach szariatu, w którym zakazano m.in. alkoholu, muzyki i tańca. Szamil utworzył armię oddanych mu miurzydów (uczniów, członków islamskiego sprzysiężenia), a dla rodzin, których wojownicy polegli w walce z Rosjanami, ufundował zapomogi. Najzdolniejsi górale mogli też liczyć na stypendium i wyjazd na studia religijne do Konstantynopola.

Państwo rządzone przez Szamila miało być bytem doskonałym. Na terenie imamaty szariat wyparł lokalne adaty (niepisane prawa oparte na umowach ustnych lub zwyczaju), w tym np. prawo do zemsty, która potrafiła ciągnąć się latami i wykrwawiać całe rody. Powstała poczta, sądownictwo, administracja regionalna z dowodzącymi w regionach namiestnikami Szamila – naibami.

GAŁAZ KAPITULACJI

Górale dzielnie bronili się przed Rosją do połowy lat 40. XIX w., kiedy dowodzenie wojskami carskimi objął książę Michaił Woroncow.



Od tej chwili armia rosyjska zaczęła stosować taktykę spalonej ziemi, wycinając lasy, w których górale urządzali zasadzki. Również masowo plądrowała i paliła auły.

Lata 1846–1853 to powolne zajmowanie Czeczenii, nazywanej spichlerzem imamaty, w której opór pękał. Pogarszające się nastroje były podsycane też niechęcią jej mieszkańców, czujących się w państwie Szamila obywatelami gorszej kategorii. W dodatku w otoczeniu imama wyrosła ukryta opozycja, a sam przywódca – nieznoszący sprzeciwu i bezkompromisowy – nie pozwalał na to, aby przy jego boku pojawił się ktoś o świeższym spojrzeniu, któremu udałoby się ponownie tchnąć w górali ducha walki.



FOT. KAROL FRYTA

Ostatecznie w kwietniu 1859 r. padł bastion Szamila – czeczeńskie Wiedeno. Imam, wraz z resztą oddanych mu miurzydów, okopał się w Gunibie. To właśnie tutaj doszło do ostatniej bitwy i upadku szamilego państwa.

Odbywam przechadzkę do miejsca, które znajduje się niemal na ostatnim „piętrze” sioła, w Parku Przyrody Górny Gunib. To jeden z ostatnich etapów mojej podróży po Dagestanie, który był też ostatnim etapem walki narodowowyzwoleńczej imama. Właśnie tutaj 25 sierpnia 1859 r. Szamil wraz z nieodbitkami armii poddał się księciu Bariatyńskiemu. Dziś w tym miejscu leży pamiątkowy głaz, na którym siedział rosyjski dowódca w trakcie przyjmowania kapitulacji, a tuż obok

widnieje pamiątkowa tablica z chronologią kaukaskiego oporu.

Wieczorem zasiadam do kolacji z gospodarzami domu, w którym się zatrzymałem. Pan domu niemal przez godzinę przyprawia i przyrządza mięso. Zjadam jego szaszłyki oczami, taki jestem głodny. W gościnę do Gunibu przyjechały też dwie kobiety z Machaczkały: Elwira i Waleria. Wgryzamy się w mięso, zapychamy cebulą, w świetle nagiej żarówki błyszczą tłuste usta i palce. Podpytuję dziewczyny o imama, ale jakoś nie są zainteresowane tym tematem. Dociekają raczej, jak wygląda życie w Polsce.

Za nami, na granatowym niebie, rysują się fragmenty murów fortecy Szamila. ○



Karol Fryta

Dziennikarz, miłośnik obszaru posowieckiego, ze szczególnym uwzględnieniem Kaukazu i Azji Środkowej.

Jan Siemiński

Bretońskie wędrowki

Bretania to kraina historyczna i region w północno-zachodniej Francji. Leży na Półwyspie Bretońskim, nad Oceanem Atlantyckim. Cechuje się wysokimi klifami i fortami, jest też upstrzona latarniami morskimi. Obejmuje faliste i pagórkowate tereny, z kulminacjami na wznoszących się w centrum wzgórzach d'Arrée. Wśród regionów francuskich wyróżnia się dużą odrębnością kulturową.

Latarnia Saint-Mathieu o wysokości 56 m została zbudowana w 1835 r. Pierwszy punkt sygnalizacyjny dla statków powstał w 1806 r., a obecny kształt latarni został nadany ok. 1906 r. Naprowadza statki w pobliżu wejścia do portu w Breście.



A photograph of the La Latte Castle, a medieval stone fortress built on a grassy cliff overlooking the ocean. The castle features several towers and battlements. In the foreground, dark, jagged rocks are partially submerged by the sea, with white foam from the waves crashing against them. The sky is blue with scattered white clouds.

Zamek La Latte w północno-wschodniej części Bretanii to słynna atrakcja turystyczna. Został zbudowany w XIII w.

Wantowy most Terenez ma 515 m długości i łączy Bretanię z półwyspem Crozon. Ta nowoczesna konstrukcja o zakrzywionym łuku kosztowała 35 mln euro.



Marina w okolicy Perros-Guirec. Otaczają ją charakterystyczne domki z kamienia, które mieszczą sklepiki i kawiarenki. To idealne miejsce, by odpocząć w podróży.



Fort Capucins to skalista wysepka u podnóża klifu na półwyspie Crozon. Jego nazwa pochodzi od skały w pobliżu wyspy, ukształtowanej jak modlący się mnich. Fort został zbudowany w 1848 r. z łupków i granitów. Z lądem jest połączony mostem.





Ruiny opactwa Abbaye Saint-Mathieu de Fine-Terre leżą na przylądku w pobliżu Le Conquet. Obok znajduje się latarnia morska. Według legendy pierwsze opactwo zostało założone w VI w. przez św. Tanguy.

Cap Frehel jest niezwykle popularnym miejscem ze względu na szare, czerwone i czarne wysokie klify oraz różowe piaskowce z widokiem na zieloną wodę. Znajduje się tutaj piękna latarnia morska oraz kaplica Frehel.



Głaz narzutowy w Ploumanac'h z charakterystycznego czerwonego granitu, z którego jest ukształtowana cała linia brzegowa. Obok już niezamieszkany budynek. W niedalekiej odległości znajduje się latarnia morska oraz mała kaplica.





Phare du Petit Minou, latarnia wyznaczająca drogę do portu w Breście. Ma ona czerwone światło ostrzegające przed niebezpiecznym miejscem przy płaskowyżu les Fillettes.

Dzięki 13 km linii brzegowej i trzem piaszczystym plażom
Perros jest rajem dla rodzin i fanów sportów wodnych.
Oferuje też takie romantyczne widoki.



Jan Siemiński

Mieszkaniec Gdańska, od 25 lat fotografuje hobbystycznie krajobraz. Udało mu się pokazać fotografie na 12 wystawach. Jego zdjęcia były wielokrotnie nagradzane w konkursach i publikowane w magazynach krajowych i zagranicznych.



ŻÓŁTE PAPIEROWE ŻONKILE



Wtedy te wszystkie ulice prowadziły donikąd. Każdą z nich, bez wyjątku, kończył ceglany mur. W dodatku ten labirynt kilkudziesięciu dróg i zaułków stale się zmniejszał. Na wciąż kurczącej się przestrzeni egzystowało prawie pół miliona ludzi. W warunkach gigantycznego przeludnienia masowo umierali wskutek głodu, zimna, chorób, niewolniczej pracy, ginęli w egzekucjach. Mimo to musieli tu być. Nie mieli innego wyboru. Hitler chciał przecież unicestwić cały ich naród. Kazał więc stworzyć wiele takich miejsc. To było największe w całej okupowanej Europie.



Getto dla ludności żydowskiej w Warszawie władze niemieckie utworzyły w 1940 r. Był to obszar zamknięty i otoczony murem, położony w północno-zachodniej części centralnej Warszawy. To tutaj hitlerowscy okupanci uwięzili Żydów warszawskich, jak i przesiedlonych z gett w innych miejscowościach. Już po dwóch latach w obrębie getta przebywało 450 tys. osób. Szokująca liczba. Prawdziwe miasto w mieście. I to duże miasto. Mniej więcej o porównywalnej liczbie mieszkańców, jak współczesny Gdańsk. Trzeba jednak pamiętać, że przedwojenna Warszawa była drugim, po Nowym Jorku, największym skupiskiem ludności żydowskiej na świecie. Była także globalną stolicą języka jidysz.

Niemcy utworzyli getto na terenie „dzielnicy żydowskiej”, która popularnie była nazywana dzielnicą północną, nalewkowsko-muranowską lub Nalewkami.

Zajmowała ona prawie jedną piątą miasta. Do wojny zamieszkiwali ją wyłącznie Żydzi. Po wojnie powstał tutaj Muranów. Jedyne osiedle mieszkaniowe wzniesione na gruzach i z gruzów dawnego getta. Choć to unikatowy przykład architektury, która całymi garściami czerpała ze sztuki socrealistycznej, w tym akurat tekście nie ma to najmniejszego znaczenia. Istotne jest natomiast coś zupełnie innego. Coś całkowicie nieporównywalnego, absolutnie wyjątkowego i naprawdę bezprecedensowego.

Muranów to przede wszystkim świadek historii. Symbol nieobecności warszawskich Żydów. Miejsce pamięci o nich. Naznaczone ich cierpieniem, męczeństwem i krwią przelaną w nierównej walce z niemieckim okupantem. To właśnie tutaj, w warszawskim getcie, 19 kwietnia 1943 r. wybuchło powstanie – pierwsze miejskie powstanie w okupowanej Europie. Jego bezpośrednią przyczyną była decyzja

Niemców o likwidacji getta. Był to jeden z elementów hitlerowskiego planu zagłady Żydów. Wielka akcja likwidacyjna rozpoczęła się latem 1942 r. Niemcy w jej ramach wywieźli stąd do obozu zagłady w Treblince prawie 300 tys. osób. Wśród tych, którzy pozostali, narodziła się idea zbrojnego oporu.

19 kwietnia 1943 r. dwa tysiące doskonale wyposażonych w broń oraz wspieranych przez wozy pancerne i czołgi Niemców wkroczyło do getta, aby je ostatecznie zlikwidować. Przeciwestawiło się im kilkuset bojowców z konspiracyjnych: Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego. Powstańcy, pod dowództwem Mordechaja Anielewicza, byli wycieńczeni i uzbrojeni głównie w butelki z benzyną i trochę broni. Choć mieli świadomość, że w starciu z wrogiem nie mają najmniejszych szans, pragnęli mu zadać jak najwięcej strat. Chcieli przeciwstawić się w ten sposób



zbrodniczemu nazizmowi, a także umrzeć godnie – w walce. Ich zryw był ważnym symbolem i zbrojną odpowiedzią na hitlerowskie ludobójstwo.

Wobec miazdzącej przewagi wroga bohaterstwo stawiali opór przez niespełna miesiąc. W tym czasie Niemcy metodycznie równali getto z ziemią, paląc wszystkie domy. Schwytanych zabijali lub wywozili do obozów koncentracyjnych. Anielewicz i kilkudziesięciu powstańców zostali otoczeni w schronie przy ul. Miłej i ostatecznie popełnili tam samobójstwo. Tylko nielicznym Żydom udało się wydostać kanałami z płonącego getta – niektórzy z nich brali potem udział w powstaniu warszawskim. Ostatecznie 16 maja 1943 r. Niemcy wysadzili Wielką Synagogę przy ul. Tłomackie. Getto warszawskie przestało istnieć. Jednak pamięć o dramatycznych wydarzeniach, jakie się w nim rozegrały, przetrwała. Powstanie w tym getcie jest uważane za jedno z najważniejszych wydarzeń w historii narodu żydowskiego.

Od lat mieszkam na Muranowie. Do dziś nie mogę sobie wyobrazić, jak to w ogóle było możliwe, żeby w tak krótkim czasie zniknęła z tego miejsca prawie półmilionowa populacja. Przed wojną to przecież było prawdziwe centrum wielokulturowości. Kiedyś, za sprawą pierwszych osadników, rozbrzmiewał tutaj przede wszystkim język niemiecki. Dwa wieki później, wraz z ludnością żydowską

z Litwy i Białorusi, doszły jeszcze jidysz, hebrajski, rosyjski. I ta niezwykle bogata kultura uległa całkowitej zagładzie w ciągu zaledwie kilku lat...

Na Muranowie jest wiele miejsc upamiętniających jego dawnych mieszkańców. Jest również jedyne w swoim rodzaju Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Mieści się dokładnie naprzeciwko pomnika Bohaterów Getta, stojąc niejako na jego straży. Lokalizacja pomnika także nie jest przypadkowa. Właśnie w pobliżu tego miejsca odbywały się pierwsze walki żydowskich powstańców z hitlerowcami. Forma monumentu nawiązuje do muru getta warszawskiego i Ściany Płacu w Jeruzolimie. Jego centralną część stanowią dwie płaskorzeźby. Jedna, zatytułowana „Walka”, przedstawia grupę żydowskich powstańców i kobietę z dzieckiem na ręku. Otaczają ich płomienie, symbolizujące podpalone getto. Druga płaskorzeźba ukazuje męczeństwo żydowskich kobiet, dzieci i starców pędzonych na śmierć. Nosi tytuł „Pochód na zagładę”.

Na placu przed pomnikiem stoją dwie siedmioramienne menory, które pełnią funkcję zniczy w czasie uroczystości rocznicowych. W tym miesiącu znowu zapłoną. Dokładnie 19 kwietnia, w 76. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim – największego zbrojnego zrywu Żydów podczas II wojny światowej. Tego dnia znowu przypomniemy do ubrań żółte

papierowe żonkile, które będą rozdawać na ulicach wolontariusze. Marek Edelman, jeden z ocalałych z getta i ostatni dowódca Żydowskiej Organizacji Bojowej, zawsze w rocznicę powstania składał te kwiaty pod pomnikiem Bohaterów Getta. W ten sposób stały się one symbolem szacunku i pamięci o powstaniu w warszawskim getcie.

W tym roku przypada 100. rocznica urodzin i 10. rocznica śmierci Marka Edelmana. W styczniu Rada Warszawy zdecydowała, że będzie on patronem 2019 roku w stolicy. A żółte papierowe żonkile? To inicjatywa Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, które od kilku lat promuje ten symbol w ramach akcji „Żonkile” właśnie. Jej zasadniczym celem jest upowszechnianie wiedzy o powstaniu w warszawskim getcie. Ale to nie tylko doskonała lekcja historii. To także nauka wzajemnego szacunku i tolerancji. To ważne, bo przecież łączy nas pamięć. ○

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.



SZTUKA PAKOWANIA

*czyli jak dobrać
idealną torbę podróżną*

THULE® SWEDEN

KAŻDA WYCIECZKA JEST INNA – RÓŻNIĄ SIĘ NIE TYLKO ODWIEDZANE MIEJSCA, OGLĄDANE KRAJOBRAZY I SPOTKANI LUDZIE, ALE RÓWNIEŻ SPOSÓB, W JAKI PODRÓŻUJEMY, I EKWIPUNEK, KTÓRY ZE SOBĄ ZABIERAMY. DLATEGO TAK WAŻNE JEST, BY ZABRAĆ TORBĘ (LUB WALIZKĘ), KTÓRA BĘDZIE IDEALNIE PASOWAŁA DO WYCIECZKI, ZARÓWNO POD WZGLĘDEM POJEMNOŚCI, JAK I SPOSOBÓW PRZENOSZENIA, DODATKOWYCH FUNKCJI CZY ODPORNOŚCI NA TRUDY PODRÓŻY. NA SZCZĘŚCIE W OFERCIE FIRMY THULE ZNAJDIEMY PRODUKTY, KTÓRE SPRAWDZĄ SIĘ W PRAKTYCZNIE KAŻDYM ZASTOSOWANIU I WARUNKACH.

Szwedzi z Thule o podróżowaniu wiedzą wszystko. Firma od dekad rozwija i wprowadza na rynek najróżniejsze produkty, projektowane z myślą o transportowaniu w nich wszystkiego, co dla nas ważne i niezbędne podczas wakacyjnych czy sportowych wojaży: od boksów dachowych, przez bagażniki rowerowe i narciarskie, plecaki turystyczne, wózki dziecięce, aż po wiele serii i modeli najróżniejszych toreb podróżnych, walizek, kufrów itp. W poniższym tekście skupimy się właśnie na walizkach i torbach – jako najchętniej

wybranych przez osoby planujące wakacyjne wojaże lotnicze, samochodowe czy kolejowe (przypomnijmy, że o tym, jak wybrać plecak turystyczny, pisaliśmy w numerze 10/2018).

THULE REVOLVE – WYTRZYMAŁE I MOBILNE

Decyzja o tym, jaką walizkę lub torbę wybrać z myślą o wakacyjnych (ale nie tylko) wyjazdach, w znacznej mierze zależy od tego, jak zamierzamy podróżować i ile bagażu



zamierzamy zabrać. Osoby, które planują przemieszczać się głównie samolotami czy pociągami, powinny zainteresować się nową serią twardych walizek Thule Revolve – są one stylowe, trwałe, praktyczne i zaprojektowane z myślą o osobach, które dużo podróżują. W skład serii wchodzi cztery modele – w tym walizki pokładowe (carry-on) oraz rejestrowane. Wszystkie sprawdzą się idealnie zarówno podczas podróży samolotem, jak i pociągiem. Ich atutami są m.in. odporność na wszelkie uszkodzenia, koła idealnie toczące się po

każdej powierzchni (od wykładzin, przez gładkie podłogi terminali i dworców, aż po bruk), a także świetne zamki i teleskopowe rączki.

Walizki Thule Revolve są doskonale przygotowane na wszelkie trudy podróży – solidna konstrukcja ze wzmocnionym przednim panelem, usztywnioną ramą i wzmocnionymi narożnikami została zaprojektowana tak, by zapewnić odporność na uszkodzenia i wygodę użytkowania. Nowości są wykonane w 100 proc. z czystego poliwęglanu (polikarbon), czyli materiału łączącego najwyższą odporność mechaniczną, trwałość oraz doskonały wygląd. Ich wnętrze jest wyłożone miękkim, filcowym materiałem – co nie tylko podnosi komfort użytkowania, ale też skutecznie tłumi wszelkie wibracje i sprawia, że zawartość nie przesuw się, nie wibruje i nie grzechocze.

Świetnym rozwiązaniem są również wbudowane paski kompresyjne (pozwalające na spicie bagażu i zachowanie porządku), a także solidne, bezpieczne zamki – zgodne ze standardem TSA i absolutnie zabezpieczone przed przebicciem. Dodajmy, że w skład serii wchodzi cztery modele o różnych pojemnościach (od 33 do 97 l) – dobrano je tak, by każdy użytkownik mógł wybrać wariant wpisujący się w jego potrzeby.

POJEMNOŚĆ I „POGODOODPORNÓŚĆ” – THULE CHASM

Dla osób, które planują podróż samochodem lub pociągiem, świetnym rozwiązaniem będą również pojemne, wszechstronne i doskonale chroniące bagaż przed warunkami atmosferycznymi torby sportowe z serii Thule Chasm. W kolekcji dostępne są cztery modele, o pojemności od 40 do aż 130 l – wszystkie oferują m.in. wyjątkowo szerokie otwarcie (zapewniające wygodny dostęp do zawartości), możliwość noszenia na ramieniu i jako plecak, wodoodporność (torby wykonano z wytrzymałego i nieprzemakalnego brezentu), wewnętrzne



kieszenie siatkowe oraz zewnętrzne paski kompresyjne (które m.in. zapobiegają spadaniu zawartości na dno torby podczas noszenia jej jak plecaka).

Torby Thule Chasm mają również wzmocniony, wyściełany spód (który chroni zawartość przed twardym podłożem), a także łatwo dostępną zewnętrzną kieszeń.

THULE LANDMARK – KOLEKCJA DLA WĘDROWCÓW

W ofercie Thule znajdziemy również wszechstronne i funkcjonalne plecaki, zaprojektowane z myślą o turystach i podróżnikach, którzy po dotarciu do celu swojej wycieczki chcieliby wygodnie przechadzać się z nimi po okolicy. To seria Thule Landmark – czyli idealne rozwiązanie dla podróżników, którzy chcą, by ich bagaż pozostawał podczas podróży uporządkowany niczym w walizce czy torbie podróżnej... ale jednocześnie zależy im na wygodzie noszenia plecaka. Szerokie otwarcie razem z walizką oraz wbudowany system pasków kompresyjnych pozwala na łatwe pakowanie i wypakowywanie bagażu oraz gwarantuje, że wszystkie spakowane rzeczy pozostaną tam, gdzie powinny.

Jako że dla aktywnych podróżników kluczową cechą jest komfort transportowania bagażu, to w nowościach Thule zastosowano znany z plecaków firmy podział na modele damskie i męskie (idealnie dopasowane

do kobiecych i męskich sylwetek i budowy ciała) oraz regulowany system nośny, zapewniający wygodę podczas wypraw. Co istotne, nowe plecaki zaprojektowano tak, by zminimalizować liczbę wszelkich zewnętrznych, swobodnych elementów – wszystkie paski można zwinąć i schować, eliminując ryzyko zaczepienia ich w lukach bagażowych, bagażnikach czy na karuzelach bagażowych.

Produkty z serii Thule Landmark wyposażono w cały zestaw innowacyjnych funkcji, które zapewniają wysoki poziom bezpieczeństwa bagażu (w tym np. dokumentów). Główna komora oraz kieszeń SafeZone są wyposażone w pasywne zamki, uniemożliwiające szybkie ich otwarcie, a wszystkie suwaki mają oczka pozwalające na ich zablokowanie (co przyda się, gdy zechcemy zostawić torbę w hostelu czy umieścić w bagażniku autobusu). Przydatnym dodatkiem jest również ukryta kieszeń CashStash, w której można umieścić pieniądze, paszport czy wszelkie cenne dokumenty.

W ramach serii Thule Landmark są dostępne plecaki w trzech rozmiarach: Thule Landmark 40 l (spełniający wymagania gabarytowe bagażu podręcznego), Thule Landmark 60 l oraz Thule Landmark 70 l. Modele 60 i 70 l mają odczepiane plecaki podręczne, idealne na krótkie wyjścia do miasta czy w góry.

Więcej informacji o plecakach, torbach i walizkach podróżnych Thule można znaleźć na stronie Thule.com.



Dwa kółka

Kwietniowy outdoor to głównie propozycje zakupów związanych z rowerami. Pokonuj wielkie odległości, zjeżdżaj karkołomnymi ścieżkami, dojeżdżaj do pracy, bierz dziecko na rower, wystartuj w zawodach... Form spędzania czasu na dwóch kółkach jest bardzo wiele.

WYGODA I TRWAŁOŚĆ WINGS GOOSE

Goose to luksusowa kolekcja walizek marki Wings, wykonana z bardzo wytrzymałego i odpornego na zarysowanie tworzywa ABS Plus. Trwały, duraluminiowy stelaż jest wbudowany w walizkę z dwupoziomową teleskopową rączką oraz bocznym uchwytem pomocnym przy przenoszeniu bagażu. Wyposażony w cztery obracające się o 360 stopni kauczukowe kółka, które zapewniają stabilność oraz lekkość prowadzenia w dowolnym kierunku.



Cena: ok. 120 zł
www.wings24.pl

DESIGN I BEZPIECZEŃSTWO COLLAGE

Linia łańcuchów antykradzieżowych z grafiką Andrzeja Wieteszk. Dzięki specjalnej kłódce można łączyć ze sobą łańcuchy w nieskończoność, co może być pomocne przy przypinaniu kilku rowerów razem. Stal hartowana. Grubość pręta, z którego wykonane jest ogniwo łańcucha, to 6 mm. Długość łańcucha: 80 cm. Całość wyprodukowana w Europie. W komplecie dwa kluczyki do kłódki.



Cena: ok. 80 zł
hsecompany.pl



KONTROLA I PEWNOŚĆ SIEBIE WHYTE S-150S

Nowoczesna geometria Whyte, zmniejszony offset widelca, skok 150 mm i koła 29" sprawiają, że jest to szybki i sterowny rower w każdej sytuacji. Użyty napęd SRAM Eagle ze zwiększonym o ponad 500% zakresem przełożeń pomaga wycisnąć jak najwięcej z roweru – zarówno w zakresie prędkości podczas podjazdów, przełożenia mocy na pedały, jak również wykorzystania najwyższego przełożenia na zjazdach. S oznacza zmianę – możliwość zamocowania kół 650b z oponami 2,8". Mimo takiej modyfikacji wciąż pozostaje odpowiednia przestrzeń w tylnym trójkącie oraz w amortyzatorze, aby nawet mocno zabłocona opona bez oporów się toczyła. Zestaw kół można zmieniać nawet w kilkadziesiąt sekund.

Cena: ok. 14 000 zł
www.whyte.pl

POLSKI PRODUKT HCC

Zębatki typu narrow/wide do napędów MTB 1×10, 1×11 oraz 1×12. Specjalnie dobrana szerokość zębów odpowiada szerokości ogniw łańcucha, co zapobiega jego spadaniu z przedniej zębatki. Takie rozwiązanie, w połączeniu z nowym typem przerzutki ze sprzęgłem (SRAM Type 2 lub Shimano Shadow Plus), eliminuje potrzebę używania napinacza w większości zastosowań w rowerach górskich. Zębatki owalne zostały zaprojektowane, aby polepszyć przeniesienie mocy kolarza i przez to zwiększyć trakcję w trudnych warunkach terenowych. W tzw. martwej strefie – kiedy kolarz generuje najmniej mocy – średnica zębatki jest minimalna. W strefie mocy – gdy generuje jej najwięcej – średnica zębatki z kolei jest największa. Powoduje to dużo bardziej równomierny transfer mocy na koła, dzięki czemu łatwiej utrzymać trakcję w trudnych warunkach terenowych.



Cena: ok. 200 zł
www.hcc-components.com

PRZYDATNY BIKE CITIZENS FINN 2.0

Rowerowy uchwyt dopasowuje się do każdego smartfona i różnych typów kierownic. Oryginalny, wyprodukowany w Austrii. Wytrzymały silikon amortyzuje wstrząsy i zapewnia bezpieczne mocowanie telefonu, bez narzędzi. Mieści się w kieszeni. Prosty i praktyczny. Razem z Finnem stworzono rowerową aplikację Bike Citizens na smartfona, z której korzystają już setki tysięcy użytkowników. Dostępne plany 450 miast z całego świata.

Cena: ok. 60 zł
www.alpinbike.pl



DLA WYMAGAJĄCYCH SEALSKINZ U'S MTB MID MID HYDROSTOP

Średniej grubości skarpety rowerowe o średniej długości zapewniają bardzo wysoką wodoodporność (membrana Stretchdry 20 000 mm). Są przeznaczone w szczególności do zastosowań w kolarstwie MTB. Zapewniają doskonały kompromis między oddychalnością a utrzymaniem ciepła. Świetnie się sprawdzają podczas aktywności w warunkach wymagających nie tylko wysokiej wodoodporności, ale także maksymalnej przepuszczalności powietrza, by uniknąć przepocenia stóp.

Cena: ok. 230 zł
www.ravenco.eu



NA ŚCIEŻKI MAXXIS REKON

Rekon jest agresywną trailową oponą inspirowaną modelem Ikon. Jest przeznaczona na średnie i techniczne trasy. Szerokie centralne klocki wspomagają hamowanie, a ich skośna najazdowa ściana obniża opory toczenia. Boczne klocki w kształcie litery L wraz z lamelą pośrodku pomagają w utrzymaniu linii w zakrętach. W obecnym sezonie będą dostępne rozmiary: 29 x 2,25/2,6 oraz 27,5 x 2,4/2,6/2,8 w różnych specyfikacjach.

Cena: ok. 180-350 zł
www.maxxis.com



NIEZAWODNY PEDAŁ BONTRAGER COMP

Wytrzymały, dwustronny pedał górski zgodny z systemem SPD i w pełni regulowanym napięciem sprężyn. Anodowane, złoto-purpurowe wykończenie. Oś cro-mo, maszynowe łożyska. Objęty 30-dniową gwarancją satysfakcji Bontrager. Waga: 316 g.

Cena: ok. 380 zł
www.trekbikes.com/pl



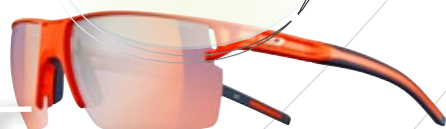
PŁASKI I PEŁEN ENERGII POWER BANK VARTA SLIM

Power bank o pojemności 6000 mAh jest wyposażony w dwa porty wyjściowe: USB typu C oraz USB 2,4 A, umożliwiające ładowanie dwóch urządzeń jednocześnie. Dzięki wykorzystaniu technologii litowo-polimerowej jest wyjątkowo płaski. Aktualną pojemność wskazują cztery diody LED. Power bank naładujemy za pomocą kabla Micro USB (w zestawie).

Cena: ok. 130 zł
www.varta-consumer.pl



Cena: ok. 430-600 zł
www.julbo.com



NAJWYŻSZA JAKOŚĆ JULBO OUTLINE

Najnowszy model Julbo Outline został zaprojektowany do rywalizacji w każdych warunkach. Wieloletnie doświadczenie marki Julbo pozwoliło stworzyć najwyższej jakości okulary rowerowo-biegowe. Panoramiczny profil szkieł oraz soczewki fotochromatyczne Reactiv 0-3 cat gwarantują doskonałą wizję także nocą czy przy złej pogodzie. Dzięki noskowi 3D Nose Fit okulary dopasowują się do kształtu każdego nosa, a elastyczna ramka pozwala je wygodnie nosić pod kaskiem rowerowym.

BOBIKE MAXI TOUR

Jestem pewnie w małym gronie rodziców, którzy nawet przy 5°C ubiorą na cebulę swojego malucha i ruszą chociaż na pół godziny na rower. Gdy dziecko ma na sobie wiele warstw zakończonych grubą kurtką lub kombinezonem, można stwierdzić, czy fotelik rowerowy jest odpowiednio zbudowany. Mam na myśli wygodę dziecka i jego bezpieczeństwo, czyli pozycję, w jakiej jedzie pociecha, oraz system regulacji i zamocowania pasów. Kwestie wagi fotelika i sposobu jego montażu do roweru są dla mnie drugorzędne. Z takim nastawieniem zabrałem się za testowanie fotelika dziecięcego Bobike Maxi Tour.

Jeśli dziecko jadące w foteliku rowerowym nie śpi, rozgląda się dookoła i trzyma wyprostowaną szyję. Kiedy za-



FOT. GRZEGORZ MEDZIŃSKI



FOT. GRZEGORZ MEDZIŃSKI



Cena: ok. 450-480 zł
angre.com.pl

śnie (a to następuje w bardzo różnych momentach wycieczki), zaczynają się schody. Po pierwsze, dziecko jest „bezwładne” – jego ciało w zależności od nachylenia trasy i jakości nawierzchni w większości fotelików nie jest dostatecznie dobrze „wpasowane” w fotel i odpowiednio zapięte pasami. W Bobike Maxi Tour jest inaczej. Już przy montażu uchwytu do ramy bazę, w którą wpinamy fotelik, możemy odsunąć do tyłu, tak aby podczas jazdy (i lekkiego bujania) fotelik był nieco bardziej odchylony. Fotelik ma też regulowaną wysokość zagłówka. Dzięki temu możemy idealnie dopasować go do wzrostu dziecka. Z regulacją tą wiąże się również specjalne zagłębienie w zagłówku

na kask. Dzięki niemu dziecko może mieć szyję nieco odchyloną. Ponadto zagłówek jest po bokach dość mocno wydłużony, co stanowi dodatkowe oparcie dla głowy czy kasku i jest także ochroną w przypadku ewentualnej wywrotki lub kolizji. Pasy bezpieczeństwa to unikalny system „tuków” z miękkiego tworzywa sztucznego, które dobrze otaczają ramiona dziecka. Przyczepione do nich pasy regulujemy po obu stronach u góry oraz na pasku łączącym się z siedziskiem. Połączenie tych trzech elementów sprawia, że dziecko jest idealnie osadzone w foteliku, równocześnie odczuwając komfort podczas spędzonego w nim czasu. Ponadto fotelik ma prostą regulację długości podnóżków, osłony na szprychy zintegrowane z podnóżkami oraz miękką wyściółkę.

Bobike Maxi Tour jest przeznaczony dla dzieci od 9 m-ca do 6 lat i o maksymalnej wadze 22 kg. Jest bezpieczny

i wygodny dla prowadzącego rower, a ze względu na kształt i materiały, z jakich został wykonany, dziecko jest idealnie chronione z tyłu. Fotelik ma innowacyjną bazę montażową, wyposażoną w linkę z zamkiem szyfrowym. Jest łatwy i szybki do zamontowania na bagażniku rowerowym lub na specjalnym uchwycie (jeśli rower nie ma bagażnika). Fotelik odpowiada Europejskiej Normie Bezpieczeństwa EN 14344.

Dostępny w kilku kolorach: Cinnamon Brown, Denim Deluxe, Safar Chic, Urban Black, Urban Grey, Camel Brown, Denim Blue.

Mimo krótkiego użytkowania mogę stwierdzić, że Bobike Maxi Tour to zdecydowanie inna liga niż nasz poprzedni fotelik. Wygodna i bezpieczna pozycja dziecka jest widoczna od samego początku.

Grzegorz Medziński





APIDURA EXPEDITION COMPACT FRAME PACK (5,3 L)

Bikepacking to forma aktywności rowerowej, która w zasadzie nie jest żadną nowością, choć zyskała pewne ramy i nazwę. Kiedyś nazwalibyśmy to wyprawami czy podróżami rowerowymi. Jednak bikepacking to krok w kierunku jakości i zmniejszenia ilości ba-

rek dostępnych na rynku jest brytyjska Apidura. Model Compact Frame Pack to wyprawowa torba ramowa o pojemności 5,3 l. Jako testowy rower posłużył również brytyjski produkt, czyli Whyte Glencoe.

Torba została zaprojektowana tak, aby zapewnić dużo miejsca na ładunek na wielodniowe wycieczki, jak również do codziennej jazdy czy choćby dojeżdżania do pracy. Torba na całą ramę świetnie sprawdza się z innymi produktami firmy Apidura. Jest jednym z trzech podstawowych typów toreb, wśród których wyróżniłbym montowane na kierownicy, pod siodełkiem i wewnątrz ramy. Apidura Expedition Compact Frame waży 225 g – całkiem niewiele jak na torbę o pojemności 5,3 l. Z racji gabarytów (L1: 51 cm L2: 33 cm H1: 15 cm

H2: 17 cm) należy dobrze zmierzyć przestrzeń pod górną rurą ramy (top tube) przed wyborem wielkości i modelu. Producent zapewnia, że torba pasuje do większości 18-calowych (i większych) ram MTB. Jak wszystkie produkty Apidury Compact Frame została bardzo drobiazgowo i przemyślanie zaprojektowana, a potem precyzyjnie wykonana. Ma dwie komory otwierane wodoodpornym zamkiem błyskawicznym po obu stronach. Dodatkowo ma otwór, przez który przełożymy np. rurkę do bukłaka lub przewód zasilający do latar-

ki. Ma aż sześć różnych pasków dla bezpiecznego i pewnego montażu do ramy. Użyty materiał jest wodoodporny, niezwykle wytrzymały na ścieranie i ewentualne rozdarcie. W najbardziej newralgicznych miejscach (w których może wystąpić zwiększone tarcie) użyto materiału TPU hypalon.

Wprawdzie nie używałem torby na



długiej wyprawie, ale kilka wypadów na trening czy po prostu przejażdżkę pozwoliło mi wyrobić sobie opinię o tym produkcie. Przede wszystkim to najwyższa półka, jeśli chodzi o jakość materiałów i połączenie ich w jedną całość. Stąd też dość wysoka cena. Dzięki wspomnianym sześciu paskom torbę można idealnie dopasować do kształtu ramy, a montaż trwa dosłownie kilka chwil. Nawet podczas jazdy po nierównościach i z dużą prędkością cały czas znajdowała się na swoim miejscu. Zamek chodzi płynnie, zarówno gdy jest pełna, jak i pusta. Torba nie odkształca się i zachowuje swoje wymiary. Lekki deszcz nie zrobił na niej żadnego wrażenia, więc wylałem na nią butelkę wody... i dalej wszystko było suche w środku. Po zachłapaniu błotem materiał wystarczy przemycić zwilżoną ściereczką lub gąbką. Demontaż to kilkanaście sekund.

Miałem jeszcze w pamięci test torby na kierownicę i pod siodełko, więc wiedziałem, że w modelu Compact Frame mogę spodziewać się świetnego wykonania i równie dobrej funkcjonalności. I tak też było. Mogę więc z pełną odpowiedzialnością polecić produkty Apidura Expedition, które sprostać każdemu warunkowi i nawet najbardziej wymagającym użytkownikom.

Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 470 zł
www.apidura.com

gażu, czyli znana w outdoorze zasada *fast and light*. Zatem jeśli macie rower gravelowy, trailowy czy inny, na którym chcecie „na lekko” przemierzać większe odległości w bardzo zróżnicowanym terenie, musicie się zaopatrzyć w odpowiednie torby. Jedną z dobrze rozpoznawalnych ma-

Krajobraz z „trajtkiem”

Trolejbusy w Polsce pojawiły się w 1930 r. w Poznaniu. Potem szybko linie zaczęły się rozrastać, choć ten środek transportu miał burzliwe dzieje. Rozwijał się głównie podczas II wojny światowej, w czasie kryzysu paliwowego oraz w latach 70. W międzyczasie likwidowano linie pod koniec lat 60., a także na początku lat 90. Systemy trolejbusowe w Polsce działały m.in. w Gdyni, Lublinie, Olsztynie, Słupsku, Tychach, Wałbrzychu, Warszawie i Legnicy. Zostały jednak w większości zamknięte i z 13 działają dziś tylko trzy – w Gdyni, Lublinie i Tychach.

Na zdjęciu skrzyżowanie Al. Jerozolimskich i ul. Kruczej. Widoczne: trolejbus skoda 9Tr linii 53, tramwaj konstal N linii 25 oraz warszawa 223 jako taksówka. Można także zauważyć budkę Milicji Obywatelskiej, w której za pomocą przycisku zapalającego neon przywoływało się dyżurującego milicjanta – miał on pełnić rolę informatora, pilnować porządku, a także kontrolować ruch uliczny. W dole zdjęcia widoczny również wózek z saturatorem, który serwował wodę sodową, cieszącą się wówczas dużą popularnością. Warszawa, 1967 r.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



SZKOCJA – PRZYCHYLNOŚĆ WIELKIEGO HOMARA



SRI LANKA – PODRÓŻ Z KROPKĄ



ETIOPIA – W KRAINIE HOBBITÓW

Poznaj Świat **MIESIĘCZNIK**

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczęśna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiec Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Polski Caravaning

*Podróż przecież nie zaczyna się
w momencie, kiedy ruszamy w drogę,
i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.*

Ryszard Kapuściński



Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravaning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravaning.pl

THULE
SWEDEN

› Designed for life on the go



New



Thule Revolve Collection

Podróżuj w sposób przyjemny i stylowy.
W nowej linii walizek podróżnych Thule Revolve
znajdziesz niezawodnego kompana każdej
podróży o niespotykanej lekkości prowadzenia
i wytrzymałości.

Bring your life
thule.com